196.

L. ANDREJEW.

MYŚL

POWIEŚĆ

Z ROSYJSKIEGO ORYGINAŁU PRZETŁÓMACZYŁ

DR M. S.

WARSZAWA: GEBETHNER I WOLFF.
KRAKÓW: G. GEBETHNER I SP.

Czcionkami Drukarni Literackiej pod zarządem L. K. Górskiego.
1909.

Dnia 11. grudnia 1900. roku doktor medycyny Antoni Ignatiewicz Kerżencew popełnił zbrodnię morderstwa. Tak zestawienie wszystkich faktów, towarzyszących zbrodni, jak i niektóre okoliczności, poprzedzające ją, kazały przypuszczać u Kerżencewa zboczenie umysłowe.

Przewieziony do szpitala dla obłąkanych, poddany został Kerżencew najściślejszemu nadzorowi znakomitych psychiatrów, między którymi był także niedawno zmarły profesor Dżembicki.

Oto objaśnienia na piśmie, złożone przez samego doktora Kerżencewa, dotyczące zbrodni, a spisane po miesiącu trwania obserwacyi. Razem z innemi materyałami, zdobytemi w śledztwie, znalazły się one w osnowie sądowej ekspertyzy.

Arkusz pierwszy.

Do tej pory, panowie eksperci, taiłem prawdę, lecz teraz okoliczności zmuszają mnie wyjawić ją w zupełności. Poznawszy ją, zrozumiecie, że sprawa wogóle nie jest prostą, jak się to może wydawać profanom, a mianowicie że nie streszcza się ona w kwestyi: albo kaftan, albo kajdany. Tu jest rzecz trzecia — nie kajdany i nie kaftan — ale, za pozwoleniem, coś straszniejszego, aniżeli jedno lub drugie, a nawet oboje razem wzięte.

Zabity przezemnie Aleksy Konstantynowicz Sawełow, był moim kolegą w gimnazyum i w uniwersytecie, chociaż według specyalności rozeszliśmy się. Ja zostałem, jak wam wiadomo, lekarzem, a on ukończył wydział prawny. Nie mogę powiedzieć, abym nie lubił nieboszczyka; on był mi zawsze sympatyczny i bliższych przyjaciół od niego nigdy nie miałem. Lecz pomimo wszystkich sympatycznych właściwości, nie należał do ludzi, którzy mogą we mnie wzbudzać szacunek. Szczególniejsza miękkość i podatność jego natury, dziwna niestateczność w zakresie myśli i uczucia, przerażająca skrajność i nietrafność ustawicznie zmiennych sądów, kazały mi patrzeć na niego, jak na niemowlę, albo na

kobietę. Ludzie blisko niego stojący, nieraz przez niego boleśnie dotknięci, a mimo to, z powodu nielogiczności ludzkiej natury, lubiący go, starali się usprawiedliwiać jego niedostatki i swoje uczucie, nazywając go „artystą“. I rzecz szczególna, że być bardzo może, skutkiem tego idiotycznego nazwania, zupełnie go usprawiedliwiano i to, co u każdego normalnego człowieka byłoby uważane za złe, brano u niego nietylko za objaw naturalny, ale nawet za coś dobrego. Taką siłę miało to sztuczne nazwanie, że nawet ja przez jakiś czas byłem pod wpływem tego nastroju i chętnie usprawiedliwiałem drobne niedostatki Aleksego. Drobne — dlatego, bo on do wielkich, jak do wszystkiego wielkiego nie był zdolny. Dostatecznie potwierdzają to jego prace literackie, w których wszystko małostkowe i liche, wbrew krótkowzrocznej krytyce, tak chciwej na wynajdywanie nowych talentów. Ładne a liche były jego dzieła literackie, tak jak on sam był ładnym, ale lichym człowiekiem.

W chwili śmierci miał Aleksy trzydzieści jeden lat — był odemnie młodszy o rok z czemś.

Aleksy był żonaty. Widząc jego żonę, teraz po jego śmierci, ubraną w żałobę, nie możecie wyobrazić sobie, jak była kiedyś piękna, a jak bardzo, bardzo zbrzydła. Policzki ma szare a skórę na twarzy taką zwiędłą, starą, jak znoszona rękawiczka. I zmarszczki. Teraz to jeszcze są zmarszczki, a za jaki rok, to z nich zrobią się bruzdy. Kanały. Przecież ona go tak bardzo kochała! I oczy jej już teraz nie błyszczą i nie śmieją się, a przedtem tak błyszczały, zawsze się śmiały, nawet wtedy, gdy po-

winny były płakać. Minutkę wszystkiego widziałem ją, spotkawszy się z nią u sędziego śledczego, i przeraziłem się jej zmianą. Nawet nie mogła gniewnem okiem na mnie rzucić, tak była strapiona.

Tylko nas troje — Aleksy, ja i Tatianna Nikołajewna, — wiedzieliśmy, że przed pięciu laty, a dwa lata przed ożenieniem się Aleksego, oświadczyłem się Tatiannie Nikołajewnie i niezostałem przyjęty. Oczywiście przypuszczam, że tylko nas troje, ale z pewnością jest jeszcze z dziesiątek przyjaciółek i przyjaciół Tatianny Nikołajewny, którym ze szczegółami powiedziano o tem, że kiedyś doktor Kerżencew zamierzał ożenić się z nią i że dostał kosza. Nie wiem, czy ona pamięta, że wtedy się roześmiała. Przypomnijcie jej, że było to 5 września, gdy się roześmiała. Jeżeli się będzie zapierać, a będzie się zapierać, to przypomnijcie jej, jak to było. Ja, ten silny człowiek, który nigdy w życiu nie płakał, który się nigdy niczego nie bał, ja stojąc przed nią drżałem. Ja drżałem i widziałem, jak przygryzała wargi i już wyciągnąłem rękę, aby ją objąć, gdy ona podniosła oczy, a w nich był śmiech. Ręka moja została w powietrzu, a ona się roześmiała i długo się śmiała. Ile jej się podobało. Lecz potem ostatecznie przepraszała.

— Wybacz pan, proszę — rzekła, a oczy jej się śmiały.

I ja się też uśmiechnąłem i jeżeli mógłbym jej wybaczyć ten jej śmiech, to przecież nigdy jej nie wybaczę tego mojego uśmiechu.

To się działo 5 września o godzinie szóstej

wieczorem, według czasu petersburskiego. Dlatego dodaję, że według petersburskiego czasu, bośmy się znajdywali wtedy na platformie dworca kolejowego, i ja w tej chwili jasno widzę duży, biały cyferblat i taki stan czarnych wskazówek: w górę i w dół. Aleksego Konstantynowicza zabiłem także punktualnie o godzinie szóstej wieczór. Szczególny przypadek, mogący jednakże dużo wyjaśnić domyślnemu człowiekowi.

Jednym z powodów do wsadzenia mnie tutaj, był brak motywu zbrodni. Czy teraz widzicie, że istniał motyw? Z pewnością nie była nim zazdrość. Ona zdradza u człowieka ognisty temperament i słabość władz umysłowych, co jest wprost dyametralnie do mnie niepodobne, jako do człowieka zimnego i rozsądnego. Mściwość? To prędzej, jeżeli już tak koniecznie potrzebne stare słowo do oznaczenia nowego, nieznanego uczucia. Istota rzeczy polega na tem, że Tatianna Nikołajewna jeszcze raz sprawiła, żem się pomylił, i to mnie ciągle irytowało. Znając dobrze Aleksego, wierzyłem, że w pożyciu małżeńskiem z nim Tatianna Nikołajewna będzie bardzo nieszczęśliwa i będzie musiała żałować, że nie mnie wybrała, i dlatego tak nastawałem, aby Aleksy w niej zakochany, żenił się z nią. To też jeszcze na miesiąc przed śmiercią mówił mi:

— To tobie zawdzięczam moje szczęście. Prawda, Taniu?

A ona patrzyła na mnie, mówiła „prawda“ i oczy jej się śmiały. Ja też się uśmiechałem. I potem wszyscyśmy się śmiali, gdy on objął Ta-

tiannę Nikołajewnę — nie żenowali się wobec mnie — i dodał:

— Tak bracie, tyś mnie do tego ośmielił.

Ten głupi i nietaktowny żart skrócił mu życie o cały tydzień, bo pierwotnie zamierzałem go zabić 18. grudnia.

Lecz małżeństwo ich okazało się szczęśliwem i w rzeczywistości szczęśliwą była ona. On kochał Tatiannę nie bardzo, bo on nie był zdolny do głębszej miłości. Miał swoją ukochaną rzecz — literaturę, która go odciągała od sypialni. A ona kochała tylko jego jednego i tylko nim żyła. Dalej, był to człowiek niezdrowy. Miewał częste bóle głowy, bezsenność i to go oczywiście męczyło. A ona nawet w pielęgnowaniu go i w znoszeniu jego kaprysów znajdywała szczęście.

Wiadomo, że kobieta gdy pokocha, to staje się niepojętą.

I tak dzień po dniu widziałem jej twarz uśmiechniętą, szczęśliwą twarz, młodą, piękną, beztroskliwą. Myślałem: „To moje dzieło". Chciałem jej dać złego męża, pozbawić ją siebie, a tymczasem dałem jej takiego męża, którego kochała, i sam przy niej zostałem. Wyobraźcie sobie takie dziwo: mądrzejsza od swojego męża, przepędzała czas na rozmowach ze mną, a ubawiwszy się — szła do łożnicy z nim i była szczęśliwą.

Nie przypominam sobie, kiedy mi po raz pierwszy przyszła myśl, aby zabić Aleksego. Jakoś tak niepostrzeżenie się zjawiła lecz od pierwszej chwili zjawienia, stała się taką dawną, jakbym się z nią urodził. Wiem, że chcia-

łem zrobić Tatiannę Nikołajewnę nieszczęśliwą i że z początku obmyślałem mnóstwo innych planów, mniej groźnych dla Aleksego — byłem zawsze wrogiem wszelkiego gwałtu. Korzystając z mojego wpływu, jaki miałem na Aleksego, zamyślałem go rozkochać w innej jakiej kobiecie, albo go rozpić (miał do tego skłonność), lecz wszystkie te sposoby nie kwadrowały mi. Przyczyną zaś tego było, że Tatianna Nikołajewna mogłaby mimo to być szczęśliwą, nawet oddając go innej kobiecie, słuchając jego pijackich wymysłów, lub poddając się jego pijackim pieszczotom. Ona potrzebowała, aby ten człowiek żył a ona aby tak albo inaczej mu służyła. Bywają już takie niewolnicze natury. I jak niewolnice nie mogą one ocenić cudzej siły, oprócz siły swojego pana. Miał świat kobiety mądre, dobre i utalentowane, ale sprawiedliwej kobiety nigdy jeszcze nie widział i nie zobaczy.

Przyznaję się otwarcie, nie dlatego, aby zyskać zbyteczną mi pobłażliwość, ale aby pokazać, jaką prawidłową, normalną koleją biegło moje postanowienie, żem dosyć długo musiał walczyć z uczuciem żalu za człowiekiem, którego skazałem na śmierć. Żal mi go było, że dozna owego strachu przedśmiertelnego, że przeżywać będzie te sekundy bólu, gdy mu będzie pękała czaszka. Żal mi było, nie wiem czy mnie pojmujecie, samej czaszki. W prawidłowo funkcyonującym, żywym organizmie, jest swoiste piękno, a śmierć, choroba i starość przede wszystkiem są brzydkie. Przypominam sobie, dawno to już, właśnie wtedy kończyłem uniwersytet, gdy mi się dostał w ręce ładny, młody pies

z doskonale rozwiniętemi członkami. Ileż siły panowania nad sobą kosztowało mnie, ściągnięcie z niego skóry, co było potrzebne do doświadczenia. I długo potem przykro mi było, gdym sobie to przypomniał.

Gdyby może Aleksy nie był takim chorowitym, nikłym, to kto wie, możebym go był i nie zabił. Ale jego pięknej głowy, to mi i teraz żal. Powiedzcie Tatiannie Nikołajewnie i to także. Ładna to była, bardzo ładna głowa. Oczy miał tylko niepiękne, jakieś blade, bez ognia i energii.

Nie byłbym Aleksego zabił i wtedy, gdyby krytyka miała racyą i gdyby on rzeczywiście był takiem wybitnem literackiem zjawiskiem. W życiu jest dużo ciemności i tak mu dużo potrzeba oświecających jego drogę talentów. że każdy z nich powinien być strzeżony, jak najkosztowniejszy brylant, jak to, co uniewinnia istnienie w ludzkości tysięcy łotrostw i głupot. Lecz Aleksy talentem nie był.

Tu nie miejsce na rozprawę krytyczną, lecz proszę się w czytać w najbardziej reklamowane utwory nieboszczyka, a zobaczycie, że one nie były dla życia potrzebne. Były one potrzebne i interesujące dla setki najedzonych ludzi, żądnych zabawy, ale nie dla życia, nie dla nas, pragnących je odgadnąć. W chwili, w której pisarz siłą swojej myśli i talentu powinien tworzyć nowe życie, Sawełow opisywał tylko stare nie próbując nawet odgadnąć ukrytej w niem myśli Jedyne jego opowiadanie, które mi się podoba w którem się zbliżał do krain nieodgadnionych jest opowiadanie „Tajemnica“ i to jest — wy

jątek. Najsmutniejszem jednakże było, że Sawełow począł się już wypisywać i że szczęście życiowe pozbawiło go ostatnich zębów, któremi trzeba wgryzać się w życie i kąsać je. On sam niejednokrotnie mówił mi o swoich zwątpieniach, a ja widziałem, że one są słuszne. Dokładnie, ze szczegółami, wyśledziłem plany jego przyszłych prac i niech się pocieszą jego entuzyastyczni wielbiciele, bo w rzeczach tych nie było nic ani nowego, ani tęgiego. Z ludzi, blizko Aleksego stojących, jedna żona nie widziała upadku jego talentu i nigdyby nie była zobaczyła. A wiecie dlaczego? Ona nie zawsze czytała utwory swojego męża. A gdy próbowałem czasem choćby cokolwiek otworzyć jej oczy, to po prostu uważała mnie za łajdaka, a upewniwszy się, że nas nikt nie słyszy, mówiła:

— Pan mu nie możesz darować czego innego?

— Czego?

— Tego, że on moim mężem i że ja go kocham. Gdyby Aleksy nie był do pana tak przywiązany...

Zacuknęła się, a ja uprzedzając ją, dopowiedziałem:

— Tobyś mnie pani napędziła?

W oczach jej błysnął śmiech. I niewinnie uśmiechając się, powoli powiedziała:

— Nie. Zatrzymałabym pana.

A ja nigdy przecież ani jednem słowem, ani ruchem, nie okazałem, abym się w niej dalej kochał. Lecz wtedy pomyślałem sobie: tem lepiej, jeżeli ona tak sobie myśli.

Sam fakt odebrania życia człowiekowi nie ambarasował mnie. Wiedziałem, że to zbrodnią

surowo przez prawo karaną. A przecież prawie wszystko, co czynimy, jest zbrodnią, i chyba ślepy tego nie widzi. Dla tych, co wierzą w Boga, zbrodnią wobec Boga, dla innych — zbrodnią wobec ludzi, dla takich, jak ja — zbrodnią wobec siebie. Byłoby większą zbrodnią, gdybym uznawszy za nieuniknione zabicie Aleksego, nie wypełnił tego postanowienia. A że ludzie zbrodnie dzielą na większe i mniejsze, i że morderstwo nazywają wielką zbrodnią, zdawało mi się zawsze zwykłem, smutnem kłamstwem ludzkiem wobec samych siebie, miłowanie schowania się przed odpowiedzialnością za cudze plecy.

Nie bałem się samego siebie i to było najważniejsze ze wszystkiego. Dla zabójcy, dla zbrodniarza, najstraszniejszą rzeczą nie jest policya, ani sąd, ale on sam, jego nerwy, mocny protest całego ciała, wychodowanego w znanych tradycyach. Przypomnijcie sobie Raskolnikowa, tego tak smutno i nieprzystojnie straconego człowieka, i całą masę do niego podobnych. I ja bardzo długo i bardzo głęboko zastanawiałem się nad tem pytaniem, przedstawiając sobie, jakim ja będę człowiekiem po spełnieniu morderstwa.

Nie powiem, żebym był przyszedł do zupełnej pewności o moim spokoju — podobnej pewności nie można przypuszczać u myślącego człowieka, przewidującego wszystkie możliwości. Zebrawszy jednak skrupulatnie wszystkie dane z mej przeszłości, wziąwszy w rachunek siłę mojej woli, tęgość nienadwątlonego systemu nerwowego, głęboką i szczerą pogardę dla zdawko-

wej moralności, mogłem żywić odpowiednią wiarę w udanie się zamierzonego przedsięwzięcia. W tem miejscu nie będzie zbytecznem opowiedzieć wam jeden interesujący fakt z mojego życia.

Kiedyś, gdy byłem studentem piątego roku, ukradłem 15 rubli z powierzonych mi pieniędzy koleżeńskich. Powiedziałem, że kasyer się omylił i wszyscy mi uwierzyli. To było coś więcej, niż zwykła kradzież, gdy potrzebujący okrada bogatego; w tem było zdradzenie zaufania i zabranie pieniędzy rzeczywiście głodnemu i koledze, do tego studentowi, i to przez człowieka zamożnego (dlatego mi też zawierzyli). Prawdopodobnie będziecie uważali ten czyn za więcej wstrętny, niż nawet popełnione przeze mnie morderstwo? Nie prawdaż? A mnie było wesoło, żem potrafił zrobić to tak dobrze i zręcznie i patrzyłem w oczy, prosto w oczy tym, których tak śmiało i bezczelnie okłamywałem. Mam oczy czarne, ładne, szczere i tym oczom uwierzyli. Ale przedewszystkiem byłem dumny z tego, że zupełnie nie doświadczałem wyrzutów sumienia, a co sam sobie udowodnić chciałem. I do dziś dnia ze szczególniejszem zadowoleniem przypominam sobie „menu“ niezwykle wykwintnego obiadu, jaki sobie zamówiłem za ukradzione pieniądze i z apetytem zjadłem.

I czyż teraz mam doznawać wyrzutów sumienia? Żałować spełnionego czynu? — Zupełnie nie!

Ciężko mi, bezdennie ciężko, jak nikomu z ludzi na świecie i włosy mi siwieją — lecz to co innego. Straszne, niespodziewane, nieprawdopodobne w swojej strasznej prostocie.

Arkusz drugi.

Zadanie moje było następujące. Potrzeba, abym zabił Aleksego; potrzeba, aby Tatianna Nikołajewna wiedziała, że to ja rzeczywiście, ja zabiłem jej męża i aby przecież prawo nie dotknęło mnie karą. Nie mówiąc już o tem, że skazanie mnie dałoby Tatiannie Nikołajewnie zbyteczny powód do uśmiania się, wogóle nie chciałem zupełnie katorgi. Ja życie bardzo lubię.

Lubię, gdy w cienkim kieliszku błyszczy złote wino, lubię będąc zmęczonym, wyciągnąć się w czystej pościeli; chętnie na wiosnę oddecham czystem powietrzem; lubię patrzeć na piękny zachód słońca, czytać interesujące i mądre książki. Ja kocham siebie, siłę moich mięśni, siłę mojej myśli jasnej i potoczystej. Cieszy mnie, że jestem sam i że ani jedno ciekawe spojrzenie nie przenikło głębin mojej duszy z jej ciemnemi zaułkami i bezdnią, na krawędzi której zawraca się w głowie. Nigdy nie znałem i nie pojmowałem tego co ludzie nazywają nudą w życiu. Życie jest interesujące i ja kocham życie za tę wielką tajemnicę, jaka w niem zawarta, kocham je także za jego brutalność, za jego srogą mściwość i szatańsko wesołe igranie z ludźmi i wypadkami.

Ja byłem jedynym człowiekiem, któregom uznawał. Jakżebym mógł tego człowieka ryzykować na posłanie w katorgę, gdzie go się pozbawi możności koniecznie mu potrzebnej rozmaitości i pełnej i głębokiej egzystencyi! A ja i z waszego punktu widzenia miałem racyą, aby pragnąć uchronić się od katorgi. Ja bardzo skutecznie leczę ludzi, a mając majątek, leczę dużo biednych za darmo. Jestem użyteczny. Z pewnością użyteczniejszy, niż zabity przezemnie Sawełow.

I bez odpowiedzialności można było dojść do celu łatwo. Istnieją tysiące sposobów zabicia człowieka niepostrzeżenie, a mnie, jako lekarzowi, byłoby bardzo łatwo przyszło uciec się do jednego z nich, to też między moimi, odrzuconymi planami, długi czas zajmował mnie jeden taki, mianowicie, aby zaszczepić Aleksemu nieuleczalną i obrzydliwą chorobę. Ale niekorzyści tego planu były widoczne. Długotrwałe cierpienia dla samego objektu, coś nieładnego w tem wszystkiem, ordynarnego i jakoś zbyt głupiego, a w końcu mogłaby Tatianna Nikołajewna nawet w chorobie męża znaleść dla siebie radość. Jednym z głównych punktów mojego zadania była konieczna potrzeba, aby Tatianna Nikołajewna znała rękę, która zabiła jej męża. Tylko tchórze lękają się trudności; takich, jak ja, one pociągają.

Przypadek, ten wielki sojusznik mądrych, przyszedł mi z pomocą. Pozwolę sobie zwrócić waszą szczególniejszą uwagę, panowie eksperci, na ten drobiazg. Właściwie przypadek, to jest

coś zewnętrznego, odemnie niezawisłego, posłużył za osnowę i powód dalszego postępowania.

W jednej gazecie napotkałem wzmiankę o kasyerze, czy urzędniku (wycinek z gazety prawdopodobnie został u mnie w domu, albo też znajduje się u sędziego śledczego), który symulował napad epilepsyi i jakoby w czasie napadu zgubił pieniądze, a w rzeczywistości na pewne je ukradł. Urzędnik ten okazał się tchórzem i przyznał się, podawszy nawet miejsce, gdzie skradzione pieniądze schował, lecz rzecz sama była niegłupia i do przeprowadzenia możliwa. Symulować obłąkanie, zabić Alexego w napadzie, jakby szału i potem wyzdrowieć — oto plan, jaki powstał u mnie w jednej chwili, lecz potrzebujący dużo czasu i pracy, aby zyskał w pełni doskonałą, konkretną formę. Psychiatryę w owym czasie umiałem powierzchownie, tak, jak każdy lekarz niespecyalista, to też rok prawie zeszedł mi na czytaniu podręczników i na rozmyślaniu. Wkońcu tego czasu byłem pewny, że plan mój w całości wykonam.

Pierwsze, na co będą musieli zwrócić uwagę eksperci, to obciążenie dziedziczne i moja dziedziczność, ku wielkiej mojej radości okazała się obciążoną. Ojciec był alkoholikiem, jeden stryj, brat jego, zakończył życie w domu waryatów, i nakoniec jedyna moja siostra Anna, już nieżyjąca, chorowała na epilepsyę. Wprawdzie ze strony matki byli wszyscy zdrowi, ale przecież wystarcza jedna kropla trucizny szaleństwa, aby zatruć cały rząd pokoleń. Silnem mojem zdrowiem wdałem się w ród matki, lecz tu i ówdzie napotykane u mnie nieszkodliwe dziwactwa mo-

gły mi oddać usługi. Moja rzekoma nietowarzyskość, która po prostu jest oznaką zdrowego rozumu, przekładającego spędzanie czasu z samym sobą i książką ponad tracenie go na próżnowanie i puste gawędy, mogła być wziętą za mizantropię; oziębłość temperamentu, nie szukającego grubych, zmysłowych rozkoszy — za objaw degeneracyi. Wytrwałość w dojściu do raz zamierzonego celu — (a na to przykładów można było znaleźć w mojem bogatem życiu niemało) — w języku panów ekspertów przybrałaby straszne nazwanie monomanii, skupienia czynności duchowych w jednym kierunku.

Punkt do symulacyi był w ten sposób niezwykle odpowiedni — statyka obłąkania była w porządku, chodziło tylko o dynamikę. Na nieumyślnem podmalowaniu przyrody, należało poprowadzić dwa, trzy zręczne pociągnięcia, a obraz szaleństwa był gotów. I ja sobie bardzo jasno przedstawiłem siebie nie w myślach, lecz w żywym obrazie, jak to będzie wyglądało, a jakkolwiek nie pisuję lichych powieści, to przecież niezbyt pozbawiony jestem artystycznego poczucia i fantazyi.

Przekonałem się, że zdołam odegrać swoją rolę. Skłonność do udawania leżała zawsze w moim charakterze i była jedną z form, w których wznosiłem się ku wewnętrznej swobodzie. Będąc jeszcze w gimnazyum, często symulowałem przyjaźń: spacerowałem po korytarzu, obejmujac wpół kolegę, jakto robią prawdziwi przyjaciele, sprytnie zawiązywałem koleżeńską serdeczną rozmowę i zręcznie wybadywałem. A gdy rozczulony przyjaciel otwierał się cały

przedemną, wtedy ja odrzucałem od siebie jego duszyczkę i odchodziłem pyszny z uznaniem dla swojej siły i wewnętrznej swobody.

Tak samo dwulicowym byłem i wobec rodziny w domu. Jak u starowierców istnieją w domu osobne naczynia dla obcych, tak i ja miałem wszystko osobne dla ludzi; osobny uśmiech, osobny sposób mówienia i osobną szczerość. Widziałem, że ludzie popełniają dużo głupstw, i zdawało mi się, że gdy zacznę mówić prawdę o sobie, to stanę się takim, jak wszyscy, a to głupie i niepotrzebne opanuje także i mnie.

Podobało mi się zawsze być z uszanowaniem dla tych, którymi pogardzałem i całować ludzi, których nienawidziłem, co czyniło mnie swobodnym i panem nad innymi. Za to nie znałem kłamstwa przed samym sobą — tej najwięcej rozprzestrzenionej i najniższej formy ujarzmienia człowieka przez życie. I czem więcej okłamywałem ludzi, tem bezwzględniej szczerym byłem wobec siebie samego — zasługa, którą nie wielu pochwalić się może.

Wogóle zdaje mi się, że we mnie siedział nietuzinkowy aktor, zdolny skojarzyć naturalność gry, dochodzącą czasem do zupełnego zlania się z przedstawioną osobą — a przy kontroli nieosłabłego, chłodnego rozumu. Nawet przy zwyczajnem czytaniu książki wstawiałem się w psychikę przedstawianej osoby i czy uwierzylibyście, że już będąc dorosłym człowiekiem, płakałem gorzkiemi łzami nad „Chatą wuja Toma“. Jaka to dziwna właściwość giętkiego, wydelikaconego kulturą umysłu — przeczłowieczenie! Żyje się doprawdy jakby tysią-

cem egzystencyj, wpada się już to w ciemność piekielną, już to wznosi się na najwyższe szczyty, obejmując jednym rzutem oka nieskończoność.

W sam czas muszę się przed wami użalić na panujące tu porządki. Każą mi chodzić spać, kiedy mnie się chce pisać, kiedy czuję potrzebę pisania. Albo nie zamykają drzwi i muszę słuchać, jak wrzeszczy jakiś waryat. Wrzeszczy i wrzeszczy — to jest po prostu nie do wytrzymania. W ten sposób rzeczywiście można doprowadzić człowieka do szaleństwa i powiedzieć, że on już przedtem był waryatem. I czyżby już nie było jakiej zbytniej świecy, że sobie muszę psuć oczy elektrycznością? Tak tu jest. A kiedy myślałem o scenie, to rzuciłem taką głupią myśl: Udawanie, gdy wszyscy je znają, to już wtedy traci swoją siłę. Tanie sztuczki zawodowego aktorskiego komedyanta za pensyę mało mnie pociągały. O wysokości mojego artyzmu może wam dać pojęcie ta okoliczność, że wielu osłów do tej chwili uważa mnie za człowieka najszczerszego i najotwartszego. A co dziwne, to to, że zawsze udawało mi się zwodzić nie osłów — jak mi się to w prędkości wyrwało — ale rzeczywiście rozumnych ludzi; a na odwrót, istnieją dwie kategorye stworzeń niższego rzędu, u których nigdy nie mogłem dorobić się zaufania, to jest u psów i u kobiet.

Wiecie, że czcigodna Tatianna Nikołajewna nigdy nie wierzyła w moją miłość i nie wierzy, jak sądzę, nawet teraz, kiedy zabiłem jej męża. Według jej logiki rzecz przedstawia się tak: Ja jej nigdy nie kochałem a Aleksego za-

biłem za to, że ona go kochała. I ta głupota wydaje jej się z pewnością i mądrą i przekonywującą. A przecież to rozumna kobieta!

Odegranie roli obłąkanego uważałem za rzecz niezbyt trudną. Część koniecznych objawów wziąłem z książek, część musiałem, jak każdy dobry aktor do poszczególnej roli wziąć z własnej twórczości, a resztę miała dodać publiczność, mająca rozbudzone uczucie książkami i teatrem, w którym ją nauczono dodawać życie osobom, naznaczonym zaledwie dwoma lub trzema kreskami. Oczywiście nie uniknione były usterki i to było szczególniej niebezpieczne ze względu na ścisłą naukową ekspertyzę, której miałem być poddany. Lecz co do tego punktu nie miałem poważniejszych obaw. Olbrzymia dziedzina psycho-patologii jest jeszcze tak mało opracowana, tyle w niej jeszcze rzeczy niejasnych, daje tyle pola do fantazyonowania i subjektowności, żem śmiało powierzył swoje losy w wasze ręce, panowie eksperci. Mam nadzieję żem was nie obraził. Nie ubliżam waszemu naukowemu autorytetowi i wierzę, że godzicie się ze mną, jako ludzie przywykli do logicznego naukowego myślenia.

... Nareszcie przestał wrzeszczeć. To po prostu nie do wytrzymania! A jeszcze wtedy, gdy plan mój był zaledwie w projekcie, powstała u mnie myśl, która zaledwie by mogła powstać w głupiej głowie. To myśl o groźnem niebezpieczeństwie mojego doświadczenia. Rozumiecie, o czem mówię? Obłąkanie — to taki ogień, z którym niebezpiecznie igrać! Rozniecіwszy ognisko w prochowni możecie się czuć bezpie-

czniejsi jak wtedy, gdy choćby najdrobniejsza myśl o obłąkaniu zakradnie się do waszej głowy. I ja o tem wiedziałem, wiedziałem — ale czyż niebezpieczeństwo ma jakie znaczenie dla odważnego człowieka?

I czyż ja nie czułem mej myśli twardej, jasnej, jakby wykutej ze stali i bezwzględnie mi posłusznej? Jak wyostrzony rapier zwijała się, zginała, kąsała, rozdzielała tkaniny wydarzeń; jak wąż bez szelestu wpełzała w niedoświadczone i ciemne głębiny na wieki pozbawiona światła dziennego a rękojeść jej spoczywała w mej dłoni żelaznej, dłoni zdolnego i wyćwiczonego szermierza. Jakże mi ona była posłuszna, pewna i bystra, ta moja myśl, i jakże ja ją kochałem, tę moją niewolnicę, moją groźną siłę, mój jedyny skarb!

...Ten tam się znowu drze, że nie mogę dalej pisać. Jakież to straszne, gdy człowiek wyje! Słyszałem dużo strasznych dźwięków, ale ten chyba najstraszniejszy. Nie podobny do niczego ten głos zwierza, przechodzący przez krtań człowieka. Jest to coś dzikiego a tchórzliwego, niewymuszonego a żałosnego do podłości. Usta się wykrzywiają w bok, mięśnie twarzy naprężają się jak postronki, zęby wyzierają, jak u psa, a z ciemnej czeluści jamy ustnej wychodzi ten wstrętny, jękliwy, świszczący, rychoczący, wyjący dźwięk...

Tak. Tak... Taką była moja myśl. Do rzeczy: Z pewnością zwrócicie uwagę waszą na moje pismo i dlatego proszę was, nie przywiązując wagi do tego, że ono gdzieniegdzie drżące i

jakby zmienione. Dawno już nie pisałem, a wydarzenia ostatniego czasu i bezsenność silnie mnie osłabiły i dlatego mi ręka czasem drży. To mi się przytrafiało i dawniej.



Arkusz trzeci.

Teraz pojmiecie, jaki to straszny przypadek przytrafił mi się na wieczorze u Karganowych. To była moja pierwsza próba, która się też udała nadzwyczajnie. Jakby już naprzód wszyscy wiedzieli, że tak ze mną się stanie, jakby nagłe zwaryowanie zupełnie zdrowego człowieka w ich oczach, było czemś naturalnem, takiem, czego zawsze można się spodziewać. — Nikt się nie zdziwił i wszyscy brali moją grę za swoiste rozigranie się fantazyi — u niezwykłego gastrologa zbiera się taka prześliczna trupa, jak ci naiwni, głnpi i łatwowierni ludzie. Czy opowiadano wam, jak byłem blady i straszny? Jak zimny, rzeczywiście zimny, pot oblewał mi czoło? Jakim dzikim ogniem płonęły mi oczy? Kiedy mi wymienili te wszystkie swoje spostrzeżenia, byłem na oko posępny i przybity, a cała moja dusza drgała z pychy, zadumy i ze śmiechu.

Tatianny Nikołajewnej i jej męża na wieczorze nie było — nie wiem, czyście na to zwrócili uwagę. I to nie było przypadkowem. Bałem się, aby jej nie zastraszyć, albo, jeszcze gorzej, nie wzbudzić w niej podejrzeń. Jeżeli istniał człowiek, któryby mógł był przeniknąć

moją grę, to nim mogła być tylko ona. I wogóle nie było tam nic przypadkowego. Przeciwnie, każdy drobiazg najmniejszy był ściśle obmyślony. Moment wypadku — przy kolacyi — wybrałem dlatego, że wszyscy będą zebrani i że będą nieco podnieceni winem. Usiadłem w rogu stołu oddalony od kandelabrów świecących się, bo wogóle nie chciałem wzniecić pożaru, ani sobie osmalić nosa. Obok siebie usadziłem Pawła Piotrowicza Pospiełowa, tę tłustą świnię, której dawno już chciałem zrobić coś na złość. Szczególniej jest on wstrętny wtedy, gdy je. Kiedym go po raz pierwszy zobaczył przy tem zajęciu, przyszło mi na myśl, że jedzenie jest rzeczą obrzydliwą. Tu wszystko przychodziło w sam raz. I z pewnością ani jedna dusza nie spostrzegła, że talerz, który się rozleciał pod moją pięścią, był przykryty serwetką, abym sobie nie pokaleczył ręki.

Sama sztuka była przeraźliwie ordynarna, nawet głupia, ale ja też rzeczywiście na to liczyłem. Rzeczy więcej delikatnej oni by nie pojęli. Z początku rozmachiwałem rękami i z „podnieceniem“ rozmawiałem z Pawłem Piotrowiczem, aż tenże zaczął coraz bardziej wybałuszać swoje oczka; potem wpadłem w „osłupienie“, ażem się doczekał zapytania od gościnnej Ireny Pawłownej.

— Co panu jest Antoni Ignatiewiczu? Dlaczego pan taki posępny?

I gdy wszyscy zwrócili na mnie oczy, tragicznie się uśmiechnąłem.

— Czy pan niezdrów?

— Tak. Trochę. Mam zawrót głowy. Proszę się nie niepokoić. To zaraz przejdzie.

Gospodyni się uspokoiła, a Paweł Piotrowicz, jakby mi przyganiając, spoglądał na mnie. A w następnej minucie, gdy on z miną zadowoloną podniósł do ust kieliszek portweinu, ja na raz, wytrąciłem mu kieliszek z pod samego nosa. — Potem na dwa, uderzyłem pięścią w talerz. Skorupy lecą, Paweł Piotrowicz broni i ksztusi się, kobiety kwiczą, a ja wyszczerzywszy zęby, ciągnę ze stołu obrus ze wszystkiem co na niem było. To był nad wszelki wyraz śmieszny widok!

Tak. Wtedy mnie wszyscy obstąpili, chwytał każdy co mógł, jeden podawał mi wody, drugi usadzał mnie na fotel, a ja ryczę jak tur w zoologicznym ogrodzie i wywracam oczy. A wszystko to było tak głupie, tak niewidoczne, że mnie, jak Boga kocham, nie na żarty chciało się, korzystając z przywilejów mojego położenia, porozbijać im pyski. Lecz oczywiście wstrzymałem się. Nastąpił obraz powolnego uspakajania się z głębokiemi natchnieniami, zawracaniem oczami, zgrzytaniem zębami i cichemi pytaniami?

— Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje?

Nawet to niedorzeczno - francuskie „gdzie ja jestem?“ miało powodzenie u tych państwa i niemniej, jak trzech durniów pospieszyło odraportować.

— U Kurganowych (słodkim głosem). Pan wiesz, kochany doktorze, kto jest Irena Pawłowna Kurganowa?

Prawdopodobnie byli oni troszkę za płytcy dla dobrej gry!

Na trzeci dzień — zostawiłem dość czasu, aby doszły słuchy Sawełowych — rozmawiałem z Tatianną Nikołajewną i Aleksym, który jakby nie przywiązywał wagi do tego, co zaszło, ograniczył się do zapytania:

— Cóżeś ty tam bracie wyprawił u Kurganowych.

Pokręcił się po pokoju i poszedł do swojego gabinetu pracować.

Więc gdybym ja na prawdę zwaryował, toby on się wcale o mnie nie poturbował. — Za to szczególniej gadatliwe, burzliwe i oczywiście nieszczere było współczucie jego żony. I wtedy... nie żeby mi żal było rozpoczętego dzieła, ale po prostu zadałem sobie pytanie: czy to warto?

— Pani bardzo kocha męża? — zapytałem się Tatianny Nikołajewny, przeprowadzającej wzrokiem odchodzącego Aleksego. Ona szybko się obróciła:

— Tak. A co?

— A nic, tak sobie — a po chwilowem milczeniu wyczekującem, pełnem niespodziewanych myśli, dodałem:

— Dlaczego mi pani nie dowierza?

Ona mi szybko i prosto popatrzyła w oczy, lecz nie odpowiedziała. I wtedy zapomniałem, że kiedyś tam, dawno, ona zaśmiała się i nie miałem do niej złości, a to, co czynię, wydawało mi się zbytecznem i dziwnem. To było zmęczenie, zwyczajne po silnem naprężeniu nerwów i trwało jedno mgnienie oka.

— A czyż panu można dowierzać? zapytała Tatianna Nikołajewna po dłuższem milczeniu.

— Z pewnością, nie można, żartobliwie odrzekłem, a we wnętrzu mojem już znowu rozgorzał przygasły ogień. Siłę, śmiałość, przed niczem nie cofającą się decyzyą, poczułem w sobie. Dumny z dotychczasowego powodzenia, postanowiłem iść do końca. — Walka to radość życia.

Drugi przypadek zdarzył się w miesiąc po pierwszym. Tu nie było tak wszystko obmyślane, ale było to i zbyteczne wobec istniejącego planu. Nie miałem zamiaru urządzać przypadku właśnie tego wieczoru, ale gdy okoliczności składały się tak korzystnie, byłoby nierozsądnem ich nie wyzyskać. Przypominam sobie jasno, jak to wszystko było. Siedzieliśmy w salonie i rozmawiali, gdy mi się zrobiło jakoś smutno. Przedstawiłem sobie żywo, co rzadko mi się trafiało, jaki ja obcy jestem wszystkim tym ludziom i samotny na świecie, ja, na wieki skazany na tę głowę moją, na to więzienie. I zdawało mi się, że oni wszyscy są przeciw mnie. Z wściekłością uderzyłem pięścią i bryzgnąłem czemś bardzo ordynarnem i z radością zobaczyłem strach na ich pobladłych twarzach.

— Łajdaki! — krzyczałem. — Poganie! Szelmy! Kłamcy! Oszusty! Żmije! Nienawidzę was!

I prawda, żem się mocował z nimi, a potem z lokajami i stangretami. Ale wiedziałem, że się biję, wiedziałem, że to robię z rozmysłem. Poprostu było mi przyjemnie bić się z nimi i mówić im prawdę w oczy, czem oni są. Czyż każdy, kto mówi prawdę — waryat? Zapewniam was panowie eksperci, że wszystko wiedziałem,

co robię, uderzając czułem pod ręką żywe ciało, które boli. A w domu zostawszy sam jeden, śmiałem się i myślałem, jaki ze mnie zadziwiający, znakomity aktor. Potem położyłem się spać a przed snem czytałem sobie książkę, mogę wam nawet powiedzieć jaką „Guy de Maupasanta“; zachwycałem się nią, jak zawsze, i usnąłem jak dziecko. A czy waryaci czytają książki i zachwycają się niemi? Czy oni zasypiają, jak dzieci?

Waryaci nie śpią. Oni cierpią i w głowie im się mięsza. Tak jest. Mięsza im się w głowie i ginie im... Chcą wyć i drapać się rękami. Zachciewa im się łazić na czworakach, raczkować cicho, cichuteńko, a potem nagle skoczyć i zakrzyczeć:

— Aha!

I zaśmiać się. I wyć. Tak podnieść głowę i tak długo, długo, tak przeciągle, przeciągle, żałośnie, żałośnie...

Tak. Tak. A ja spałem jak dziecko. Czyż waryaci śpią jak dzieci?



Arkusz czwarty.

Wczoraj wieczór dozorczyni Masza spytała mi się:

— Panie Antoni Ignatiewiczu, czy pan się nigdy nie modli do Boga?

Była na seryo pewna, że jej odpowiem poważnie i szczerze. I ja jej odpowiedziałem bez żartu tak, jak sobie życzyła.

— Nie Maszo, nigdy, Jeżeli ci to jednak sprawi przyjemność, to możesz mnie przeżegnać.

I ona też całkiem poważnie trzy razy mnie przeżegnała, a ja byłem bardzo z tego rad, żem sprawił chwilową przyjemność tej poczciwej kobiecinie. Jak wszyscy wysoko postawieni i wolni ludzie, wy panowie eksperci nie zwracacie uwagi na służących, lecz my aresztanci i „obłąkani“ stykamy się z nimi blisko i dlatego robimy wśród nich szczególniejsze odkrycia. To też z pewnością nie przyszło wam do głowy, że dozorczyni Masza, przeznaczona przez was dla doglądania waryatów — sama jest obłąkaną? A tak jest rzeczywiście.

Przypatrzcie się, jak ona chodzi bez szelestu, posuwisto, nieco bojaźliwie i nadzwyczaj ostrożnie, zgrabnie, jakby kroczyła wśród gołych mieczów. Wpatrzcie się w jej twarz, ale zrób-

cie to jakoś niepostrzeżenie, żeby nie wiedziała o waszej obecności. Gdy ktokolwiek z was przychodzi, twarz Maszy staje się poważną, seryo a łagodnie uśmiechniętą, jak raz mającą taki wyraz, jaki w owej chwili znajduje się na waszych twarzach. Rzecz ma się tak, że Masza potrafi w sposób dziwny i szczególniejszy niewłasnowolnie nadawać swojej twarzy wyraz twarzy wszelakich trzecich osób. Czasami patrzy na mnie i uśmiecha się. Taki blady, zgnieciony jakby cudzy uśmiech. I ja domyślam się, żem się pewnie uśmiechał wtedy, gdy ona popatrzyła na mnie. Zdarza się, że ją przestraszam mojem wejrzeniem. Wiecie jak dziwny i trochę przestraszający ma wygląd każdy głęboko zamyślony człowiek. I oczy Maszy rozwierają się, źrenice jej się rozszerzają, a lekko podniósłszy ręce, idzie bezszelestnie do mnie i robi coś koło mnie, coś tak przyjacielskiego i niespodziewanego, jak n. p. głaszcze mnie po głowie albo mi poprawia szlafrok.

— Pasek się panu rozluźnił! Mówi, a twarz ma taką ciągle zestraszoną.

Zdarza mi się widzieć ją samą. Wtedy gdy jest sama, to na twarzy jej malują się dziwnie wszelakie wyrazy. Twarz ta jest blada, ładna i zagadkowa, jak twarz nieboszczyka. Gdy na nią zawołać: Masza! to szybko się zwraca i uśmiecha tym „swoim“ poczciwym, przestraszonym uśmiechem i zapytuje:

— Czy może panu co podać?

Ona zawsze coś podaje, odbiera, a jak nie ma co podać, odebrać, sprzątnąć — niepokoi się. A czyni to wszystko bez szelestu. Nie spo-

strzegłem nigdy, aby cokolwiek upuściła albo czemś stuknęła. Próbowałem mówić z nią o życiu i przekonałem się, że jest dziwnie obojętna na wszystko, nawet na zabójstwo, pożar i wszystkie inne okropności, które tak oddziaływają na mało rozwiniętych ludzi.

— Pojmujesz ty: tam ich zabijają, ranią i po nich zostają maleńkie głodne dzieci, mówiłem jej o wojnie.

— A no pojmuję, odpowiadała i pytała zamyślając się: Może panu dać mleka, pan mało dzisiaj jadł.

Ja się zaczynam śmiać a ona odpowiada na to trochę trwożliwym śmiechem. Nie była nigdy w teatrze, nie wie, co to jest państwo rosyjskie i że są inne państwa; jest niepiśmienną a z ewangelii zna tylko tyle, ile urywkami czytane słyszała w cerkwi. A co wieczora klęczy i długo się modli.

Przez dłuższy czas miałem ją wprost za ograniczone, tępe stworzenie, lecz pewien przypadek kazał mi zmienić zdanie. Prawdopodobnie wiecie, pewnie wam opowiadano, żem tutaj przeżył raz chwilę bardzo przykrą, która z pewnością nie dowodzi niczego innego, jak tylko zmęczenia i czasowego upadku sił. To było z tym ręcznikiem. Jestem z pewnością silniejszy od Maszy i mogłem ją zabić, tem więcej, że byliśmy sami. Żeby była krzyknęła, albo chwyciła mnie za rękę... ale ona tego nie zrobiła. Powiedziała tylko:

— Nie trzeba tak gołąbku.

Często po tem rozmyślałem nad tem „nie trzeba“ i do tej chwili pojąć nie mogę tej szcze-

gólniejszej siły, jaka w niem się mieści, a którą ja nie czuję. Leży ona nie w samem słowie bezmyślnem i pustem, ale gdzieś w nieznanej mi i niedostępnej głębinie duszy Maszy. Ona wie, co to jest. Tak, ona wie, ale nie może, albo nie chce powiedzieć. Później niejednokrotnie domagałem się od Maszy objaśnienia tego „nie trzeba“, ale ona nie potrafiła objaśnić.

— Ty myślisz, że samobójstwo to grzech? Że zabrania tego Bóg?

— Nie.

— Dlaczego więc nie trzeba?

— Tak. Nie trzeba — i uśmiecha się i pyta: Nie przynieść panu czego?

Przypuszczam, że ona jest obłąkana, ale cicha i pożyteczna, jak wiele obłąkanych. Nie dotykajcie jej!

Pozwalam sobie zboczyć w opowiadaniu, bo wczorajszy postępek Maszy każe mi zawrócić do lat moich dziecinnych. Matki mojej nie pamiętam, ale miałem ciotkę Antisę, która mnie zawsze żegnała krzyżem na noc. Była to milcząca stara panna z pryszczami na twarzy i bardzo się wstydziła, gdy ojciec mój żartował sobie z niej na punkcie małżeństwa. Byłem jeszcze mały, miałem jedenaście lat, kiedy się powiesiła w małej komórce, gdzieśmy składali węgle. Zwidywała się potem ojcu i ten wesoły ateusz zamawiał za nią nabożeństwa żałobne.

Był bardzo mądry i utalentowany mój ojciec, a jego mowy, wygłaszane w sądzie, wzbudzały płacz nie tylko u nerwowych dam, ale i u ludzi poważnych i zrównoważonych. Ja tylko

nie płakałem słuchając go, bom go znał i wiedziałem, że on sam nic nie odczuwa z tego, co mówi. Było w tem dużo wiadomości, dużo myśli, ale więcej jeszcze słów. Te słowa, myśli i wiadomości kombinowały się często bardzo udatnie i pięknie, lecz on sam z tego nic nie pojmował. Często aż powątpiewałem, czy on egzystuje? — Do tego był on cały poza sobą, w dźwiękach i gestach i często zdawało mi się że to nie człowiek, ale migający w kinematografie obraz w połączeniu z gramofonem. On nie pojmował, że jest człowiekiem, że on teraz żyje a potem umrze i niczego nie szukał. A kiedy kładł się do łóżka, przestawał się ruszać i zasypiał. Na pewne nie miewał snów i przestawał wtedy istnieć. Swoim językiem — był adwokatem — zarabiał rocznie trzydzieści tysięcy, ale nigdy się nad tą okolicznością nie zastanawiał. Przypominam sobie, jak raz pojechaliśmy razem do co dopiero kupionego majątku ziemskiego. Ja pokazując na drzewa w parku spytałem:

— To klienci?

On uśmiechnął się i odpowiedział:

— Tak bracie, talent, to wielka rzecz!

Dużo pił, a upicie zdradzało się u niego tylko tem, że wszystko zaczynało iść coraz szybciej, a potem nagle ustawało i zasypiał. Wszyscy uważali go za bardzo zdolnego człowieka i on sam ustawicznie mówił, że gdyby był nie został znakomitym adwokatem, to byłby został znakomitym artystą albo znakomitym literatem. Niestety, to prawda. A już najzupełniej nie pojmował on mnie. Zdarzyło się raz, że groziła

nam utrata całego majątku. To było dla mnie straszne. W naszych czasach, gdy tylko bogactwo daje swobodę, nie wiem czembym był został, gdyby mnie los wtrącił w szeregi proletaryatu. Ja i obecnie bez irytacyi nie mogę znieść, gdy ktoś kładzie rękę swą na mnie, każąc mi robić to, czego ja robić nie chcę, kupuje za grosze moją pierś, moją krew, moje nerwy, moje życie. Takiej okropności doświadczyłem tylko przez chwilę, a zaraz zrozumiałem, że tacy, jak ja, nigdy nie bywają biedni. Lecz ojciec tego nie pojmował. Otwarcie nazwał mnie tępym chłopakiem i ze strachem patrzył na moje mniemane niedołęstwo.

— Ach Antosiu! Antosiu! Cóż ty będziesz robił? — mawiał.

Sam był człowiekiem zdesperowanym. Długie, nieuczesane włosy zwisły mu na czoło, twarz miał żółtą. Ja odpowiedziałem na to:

— Bądź tatko o mnie spokojny. Ponieważ nie jestem utalentowany, to zabiję Rotszylda, albo obrabuję bank.

Ojciec wpadł w pasyę, bo mu się zdawało, że sobie stroję niewczesne i głupie żarty. Patrzył na mnie, widział mój wyraz twarzy, słyszał mój głos, a mimo to, brał to za żart. Godny pożałowania, malowany pajac, przez nieporozumienie uważający się za człowieka!

Duszy mojej nie znał, a tylko powierzchowne urządzenie mojego życia oburzało go, bo się nie zaznajamiał z niem bliżej. W gimnazyum uczyłem się dobrze, i to go gniewało. Gdy przychodzili goście — adwokaci, literaci i artyści — on, dotykając mnie palcem, mawiał:

— A mój syn, to pierwszy uczeń w klasie. Za co mnie tak Bóg karze?

Wszyscy się wtedy śmiali ze mnie, a ja z nich wszystkich. Jeszcze więcej, niż moja kwalifikacya, irytowało go moje prowadzenie się i ubranie. Umyślnie przychodził do mojego pokoju po to, aby choć niepostrzeżenie porozrzucać na stole książki i zrobić jakiś nieład. Moje gładko uczesane włosy odbierały mu apetyt.

— Inspektor nakazuje się strzydz krótko — mówił z powagą i seryo.

Wymyślał mi ordynarnie, a ja się aż trząsłem od wewnętrznego śmiechu, i nie bez racyi dzieliłem wtedy cały świat na inspektorów bezpośrednich i na inspektorów pośrednich. A wszyscy oni zajmowali się moją głową w ten sposób, że jedni chcieli ją strzydz, a drudzy powyciągać z niej włosy.

Najgorsze w oczach mojego ojca były moje kajety. Raz będąc pijany, oglądał je z głęboką i komiczną odrazą.

— Czy ci się też zdarzyło choćby raz kiedy zrobić kleksa? — pytał.

— Trafiało się tatku. Przed trzema dniami kapnąłem na trygonometryę.

— I zlizałeś?

— Jak to, czy zlizałem?

— No tak, zlizałeś atrament?

— Nie, przyłożyłem bibułę.

Ojciec pijackim gestem machnął ręką i mruczał wstając:

— Nie, tyś chyba nie mój syn. Nie! Nie!

Najbardziej znienawidzonym przez niego ka-

jetem był jeden, który przecież powinien był go zadowalniać. W nim nie było także ani jednego krzywego wiersza, ani jednego kleksa, ani jednej poprawki. Było tam w nim napisane mniej więcej tak: „Mój ojciec jest pijanica, złodziej i tchórz“.

Były tam jeszcze dalsze drobiazgi, które jednakże przez pamięć i uszanowania dla ojca, jak również ze względu na kodeks uważam za zbyteczne tutaj powtarzać.

Przychodzi mi w tem miejscu na pamięć jeden fakt, o którym zapomniałem, a który, jak teraz widzę, nie będzie dla was, panowie eksperci, pozbawiony wartości. Bardzo się cieszę, żem sobie o nim przypomniał, bardzo, bardzo się z tego cieszę. Jak mogłem nawet o tem zapomnieć! Mieliśmy w domu pokojówkę Katię, która była kochanką mojego ojca i równocześnie moją. Ojca kochała za to, że jej dawał pieniądze, a mnie za to, żem był młody, miałem czarne, ładne oczy i nie dawałem jej pieniędzy. W ową noc, gdy trup mojego ojca leżał w sali, poszedłem ja do Kati. Pokój jej był tuż przy sali tak, że doskonale było tam słychać czytanie czuwającego dyaka.

Mam nadzieję, że nieśmiertelny duch mojego ojca doznał pełnej satysfakcyi!

Bez żartów, ale to bardzo interesujący fakt i nie mogę pojąć, jak mogłem o nim zapomnieć. Wy, panowie eksperci, może to weźmiecie za dzieciństwo, za postępek łobuzerski, nie mający poważniejszego znaczenia, ale tak nie jest. To była, panowie eksperci, zażarta walka, a zwycięstwo w niej nie przyszło mi tanio. Stawką

było moje życie. Gdybym był stchórzył, okazał się niezdolnym do miłości — byłbym się zabił. To było postanowione; dobrze pamiętam.

I to, com robił przy młodzieńczości mojego wieku, było nie tak znowu łatwe. Teraz wiem, żem walczył z wiatrakami, ale wtedy sprawa cała przedstawiała mi się w innem świetle. Obecnie trudno mi jest przedstawić z pamięci, com przeżył, lecz czuję, przypominam sobie, że miałem takie uczucie, jakbym naruszał wszystkie prawa boskie i ludzkie. I ja też strasznie tchórzyłem, do śmieszności, a przecież ostatecznie pokonałem się i gdym wszedł do Kati, tom był gotów do pocałunków, jak Romeo.

Tak. Wtedy ja byłem jeszcze, jak się pokazuje, romantykiem. Szczęśliwe to chwile, a jakie one dalekie! Przypominam sobie, panowie eksperci, że gdy wracałem od Kati, zatrzymałem się u trupa, założyłem ręce jak Napoleon i z komiczną dumą patrzyłem na niego. I wzdrygnąłem się przestraszony poruszonem pokryciem trumny. Szczęśliwe, dalekie chwile!

Boję się pomyśleć, ale zdaje mi się, żem nigdy nie przestawał być romantykiem. I o mało co nie idealistą. Wierzyłem w myśl ludzką i w jej bezgraniczną potęgę. Cała historya ludzkości przedstawiała mi się jako pochód jednej tryumfującej myśli, i to było jeszcze tak niedawno. Straszne to, gdy pomyślę, że całe moje życie było ułudą, że przez całe życie byłem takim głupcem, jak ten obłąkany aktor, którego widziałem w sąsiednim pokoju. Nazbierał zewsząd niebieskich i czerwonych papierków, i nazwał każdy z nich milionem; wyżebrywał je,

kradł, wygrzebywał je z klozetu, z czego stróże grube stroili dowcipy, a za to on nimi szczerze pogardzał. Spodobałem mu się tak, że mi na pożegnanie dał milion:

— To mały milionik, powiedział mi, ale proszę mi wybaczyć, bo mam teraz takie wydatki, takie duże wydatki...

A odprowadziwszy mnie na stronę, szeptem objaśnił:

— Kupuję teraz Włochy. Mam zamiar wypędzić papieża i zaprowadzić tam nowe pieniądze, takie, jak te. Na Wielkanoc ogłoszę się świętym. Będą się Włosi cieszyć, bo oni się zawsze bardzo cieszą, gdy dostają nowego świętego.

Czyż ja nie z takim milionem żyłem?

Strasznie mi pomyśleć, że moje książki, ci moi towarzysze i przyjaciele, stoją w szafach i milcząco strzegą tego, co ja uważałem za mądrość ziemi, za jej nadzieje i szczęście. Wiem, panowie eksperci, że czym ja obłąkany, czy nie, to z waszego punktu widzenia jestem łotr — niechbyście jednak popatrzyli na tego łotra, gdy wejdzie do swojej biblioteki!

Idźcie panowie eksperci, obejrzyjcie moje mieszkanie, to was zainteresuje. W górnej, lewej szufladce biurka znajdziecie szczegółowy katalog moich książek, obrazów i drobiazgów; tam też znajdziecie klucze od szaf. Wierzę, że sami, jako ludzie nauki, z należytą uwagą i powagą z poszanowaniem obejdziecie się z mojemi rzeczami. Proszę też baczyć, aby lampy nie kopciły. Nie ma nic obrzydliwszego, jak ten kopeć, bo on się wciska wszędzie i dużo kosztuje potem pracy, aby go usunąć.

Na karteczce.

W tej chwili felczer Petrof odmówił mi chloralamidu w tej dozie, jakiej żądałem. Przedewszystkiem jestem lekarzem i wiem, co robię i dlatego oświadczam, że jeżeli mi będą odmawiać, to zachowam się odpowiednio. Dwie noce nie spałem, a wogóle nie chcę zwaryować. Potrzebuję chloralamidu. Ja tego żądam. To jest szelmostwo doprowadzać kogo do waryacyi.



Arkusz piąty.

Po drugim wypadku zaczęto mi się bać. — W wielu domach zamykano przedemną pospiesznie drzwi; przy spotkaniu znajomi unikali mnie, podle się uśmiechając i dwuznacznie pytając:

— No, jakże tam zdrowie, najmilszy?

Położenie moje było jak raz takie, żem mógł wobec niego popełniać, co chciałem, i nie tracić ludzkiego szacunku. Patrzyłem na ludzi i myślałem: gdybym chciał, to mógłbym zabić tego lub tamtego, i nic mi za to nie będzie. A to, com czuł tak myśląc, było nowe, przyjemne i trochę straszne. Człowiek przestał być dla mnie czemś silnie asekurowanem, czego ostrożnie należy się dotykać; gdyby jakaś skorupa z niego spadła, byłby po prostu bezbronny, a zabicie go wydawało mi się łatwem i pociągającem.

Strach taką dokładną ścianą odgrodził mnie od ciekawych oględzin, że sama z siebie powstała konieczność, usłużyła mi w trzecim przygotowanym wypadku. Tylko też o tyle odstąpiłem od ścisłości nakreślonego planu, ale w tem leży siła talentu, że się nie zamyka w ramki

i szablon, ale wobec zmieniających się okoliczności, zmienia także cały szyk bojowy. Potrzeba mi było jeszcze uzyskać oficyalne odpuszczenie grzechów dawniejszych i rozgrzeszenie przyszłych, t. j. naukowo-lekarskie ustalenie mojej choroby. A w tem doczekałem się takiego zbiegu okoliczności, wobec którego moje zwrócenie się do psychiatry mogło być poczytane za przypadkowe, albo za coś wyproszonego. Była to może i zbyteczna, lecz artystyczna delikatność w zakresie mojej roli. Tatianna Nikołajewna i jej mąż wysłali mnie do psychiatry.

— Idź pan do doktora, drogi panie Antoni Ignatiewiczu, proszę pana — mówiła Tatianna Nikołajewna. Ona mnie nigdy dawniej nie nazywała „drogim“ i trzeba mi było zostać waryatem, aby zyskać tę mizerną pieszczotę.

— Dobrze, droga pani Tatianno Nikołajewno, pójdę — skromnie odpowiedziałem.

We troje, bo i Aleksy był tam także, siedzieliśmy w gabinecie, tam, gdzie później dokonałem zabójstwa.

— Tak, Antosiu, koniecznie idź, — z powagą potwierdził Aleksy. — Gotóweś „narobić“ jeszcze jakich historyj.

— A cóż jabym mógł narobić? — Nieśmiało usprawiedliwiałem się przed surowym moim przyjacielem.

— Któż to może przewidzieć? Mógłbyś komu i głowę rozbić.

Ja obracałem w rękach ciężki z kutego żelaza przycisk, patrząc to na niego, to na Tatiannę Nikołajewnę i pytałem:

— Głowę? Mówisz głowę?

— A tak głowę. Wyrzniesz kogoś takim, jak ten kawałkiem i... gotów.

To się stawało interesującem. R z e c z y w i ś c i e głowę i r z e c z y w i ś c i e tym k a w a ł k i e m z a m i e r z a ł e m r o z b i ć, a tu t a s a m a g ł o w a o c e n i a ł a, j a k t o b ę d z i e. Oceniała i dobrodusznie uśmiechała się. A są ludzie, którzy wierzą w przeczucia, w to, że śmierć przed sobą wysyła jakichś tam niewidzialnych zwiastunów. Jakaż to brednia!

— Ale czy tylko można komu coś zrobić tą rzeczą? — rzekłem. — To za lekkie.

— Co też ty mówisz! - za lekkie - sprzeciwił się Aleksy i wyrwał mi z ręki przycisk, a wziąwszy go za cieńszy koniec, parę razy nim machnął. Spróbój!

— Ta, ja wiem...

— Nie, weźże oto tak, i zobaczysz.

Niechętnie uśmiechając się wziąłem ciężką tę rzecz, wtedy wmięszała się Tatianna Nikołajewna. Blada, z trzęsącemi się wargami, przemówiła, a raczej krzyknęła:

— Aleksy! Zostaw! Aleksy, zostaw!

— Co ci jest Taniu? Co ci się stało? Zmięszał się.

— Przestań! Ty wiesz, jak nie lubię takich żartów.

Rozeszliśmy się, a przycisk wrócił na biurko.

U profesora T. wszystko poszło tak, jak przewidziałem. On był bardzo ostrożny. Wypytywał się, czy mam rodzinę, której mógłbym się oddać w opiekę, radził, abym został w domu, odpoczął i uspokoił się.

Opierając się na mojej wiedzy lekarskiej,

z lekka się z nim spierałem i jeżeli miał jakie wątpliwości, to wtedy, gdym się ośmielił protestować, zapewne mnie już bezpowrotnie zaliczył do obłąkanych. Wy, panowie eksperci, z pewnością nie będziecie przywiązywali większej wagi do tego niewinnego żartu z waszego kolegi tem bardziej, gdy oświadczam, że profesor T. jest poważania i szacunku godzien.

Kilka następnych dni były najszczęśliwszemi w mojem życiu. Żałowano mnie, jak naprawdę chorego, odwiedzano mnie, rozmawiano ze mną jakimś niedorzecznym tonem i tylko ja jeden wiedziałem, żem zdrów, jak nikt, i radowałem się ze skutecznej owocnej pracy mojej myśli. A ze wszystkiego zadziwiającego, niedościgłego, czem bogate życie, najbardziej zadziwiające i najbardziej niedościgłe, to ludzka myśl. W niej boskość. w niej zakład nieśmiertelności i potężna siła, nie znająca zapór. Ludzie ulegają zachwytowi i zdumieniu, gdy patrzą na śnieżne szczyty łańcuchów górskich, a gdyby oni pojmowali samych siebie, toby bardziej, niż górami, bardziej, niż wszelkiemi cudami i pięknościami świata, zachwycili się udatnością swojego myślenia. Myśl prostego robotnika o tem, jak lepiej położyć cegłę na cegłę, to większe cudo i głębsza tajemnica.

I ja radowałem się moją myślą. Niewinna w swej piękności, oddawała mi się ona z namiętnością, jak kochanka, służyła mi jak niewolnica, i podtrzymywała mnie jak przyjaciel. Nie sądźcie, żem przez wszystkie te dni, przepędzone w domu w czterech ścianach, myślał tylko o swoim planie. Nie, w nim było wszystko ja-

sne i obmyślone. Rozmyślałem o wszystkiem. Ja i moja myśl po prostu igraliśmy z życiem i ze śmiercią i wysoko, bardzo wysoko bujaliśmy nad niemi. Między innemi rozwiązałem w te dnie dwa bardzo interesujące zadania szachowe, nad któremi męczyłem się dawniej już bez rezultatu. Wiecie, panowie eksperci, żem przed trzema laty brał udział w międzynarodowym turnieju szachistów i żem zajął po Laskierze drugie miejsce. Gdybym nie był wrogiem wszelkiego publikowania się i dalej uczestniczył w zapasach, to byłby Laskier musiał mi ustąpić swojego miejsca.

Od chwili, gdy życie Aleksego wydane zostało w moje ręce, zacząłem odczuwać ku niemu wielkie upodobanie. Miło mi było myśleć, że on żyje, pije, je i cieszy się tylko dlatego, że ja na to pozwalam. Uczucie, podobne do uczucia ojca dla syna. A o co się lękałem, to o jego zdrowie. Wobec swej wątłości, on nie do darowania nieostrożny; nie chce nosić kaftanika, a w najobrzydliwszą pogodę, na wilgoć, wychodzi bez kaloszy. Uspokoiła mnie Tatianna Nikołajewna. Przyjechała mnie odwiedzić i opowiadała, że Aleksy całkiem zdrów i nawet sypia doskonale, co u niego bywa rzadko. Ucieszony, poprosiłem Tatiannę Nikołajewnę, aby wręczyła Aleksemu książkę, rzadki egzemplarz, który przypadkiem się mi dostał, a który się już dawno Aleksemu podobał. Może być, że z punktu widzenia mojego planu, podarunek ten był omyłką, bo mógłby kto podejrzywać mnie o chęć zamydlenia oczów, ale ja miałem tak wielką ochotę sprawienia przyjemności

Aleksemu, że zdecydowałem się na to ryzyko. Ja nawet lekceważyłem tą okolicznością to, że w artystycznem pojęciu mojej gry stawało się szarżą.

Dla Tatianny Nikołajewny byłem tym razem miły i naturalny tak, żem zrobił na niej dodatnie wrażenie. Ani ona, ani Aleksy nie widzieli żadnego z moich przypadków, to im też trudno było, nawet niemożliwie, wyobrazić sobie mnie, jako waryata.

— Przyjedzie pan przecież do nas, zapraszała mnie przy pożegnaniu Tatianna Nikołajewna.

— Nie wolno mi, odpowiedziałem, uśmiechając się, doktor nie pozwolił.

— No, cóż to, znowu głupstwa jakieś. Do nas wolno, przecież to, jakby w domu. Aleksemu się nudzi bez pana.

Obiecałem jej i nigdy żadnej obietnicy nie dano z taką pewnością dotrzymania, jak ja tę właśnie dałem.

Nie zdaje wam się też, panowie eksperci, gdybyście się dowiedzieli o tych wszystkich szczęśliwych epizodach, nie wydaje się wam, że już nietylko przezemnie był Aleksy skazany na śmierć, ale i przez kogoś drugiego? A w rzeczywistości nie było nikogo „drugiego", a wszystko takie logiczne i proste.

Żelazny przycisk leżał na swojem miejscu, gdym 11 grudnia o godzinie 5 wieczór wszedł do gabinetu Aleksego. — W tym czasie przed obiadem (obiad bywa u nich o 8) Aleksy i Tatianna Nikołajewna odpoczywają. Mojem przyjściem bardzo się ucieszyli.

— Dziękuję ci za książkę, przyjacielu, — mówił Aleksy, ściskając mnie za rękę. — Sam się już do ciebie wybierałem, ale mi powiedziała Tenia, że ty się już masz całkiem dobrze. Jedziemy dziś do teatru; pojedziesz z nami?

Rozpoczęła się rozmowa. W tym dniu postanowiłem zupełnie nie udawać — w tem unikaniu udawania było właściwe sprytne udawanie — to też pod wpływem przeżytego podniecenia myśli, mówiłem dużo i zajmująco. Gdyby tak wielbiciele talentu Sawełowa wiedzieli, ile najlepszych „jego“ myśli zrodziło się w głowie nieznanego im doktora Kerżencewa!? Mówiłem jasno, trzeźwo, zaokrąglonemi zdaniami i równocześnie patrzyłem na wskazówkę zegara i myślałem, że gdy ona przyjdzie na szóstkę, ja będę zabójcą. I mówiłem coś zabawnego a oni się śmiali, ja zaś starałem się zapamiętać uczucie człowieka, który nie jest zabójcą. Już nie w oddalonym obrazie, ale wprost z bliska widziałem proces życiowy w Aleksym, jak bicie jego serca, krążenie krwi w tętnicach na skroni, nieuchwytną wibracyą utkania mózgu, jak ten proces przerwie się, jak serce przestanie popędzać krew i jak zamrze mózg.

Na jakiej myśli on zamrze?

Nigdy jasność mojego pojmowania nie dosięgła takiej wysokości i siły; nigdy nie było tak pełne, wielościennie odczuwające, dokładnie pracujące to moje — ja. Nie widząc — widziałem, nie słysząc — słyszałem, nie myśląc — myślałem.

Brakowało jeszcze 7 minut, gdy Aleksy leniwo wstał z kanapy, przeciągnął się i wyszedł.

— Ja tu zaraz.... rzekł wychodząc.

Nie chciałem patrzeć na Tatiannę Nikołajewnę i odszedłem do okna, rozsunąłem portyery i stałem. Nie patrząc czułem, że Tatianna szybko przeszła przez pokój i stanęła obok mnie. Słyszałem jej oddech, wiedziałem, że ona nie patrzy w okno, ale na mnie i milczałem.

— Jak wspaniale błyszczy śnieg — przemówiła Tatianna Nikołajewna, lecz ja się nie odezwałem. Oddech jej stał się szybszy, potem się przerwał.

— Antoni Ignatiewiczu! — Rzekła i nie dokończyła.

Milczałem.

— Antoni Ignatiewiczu ! — Powtórzyła jakoś tak niezdecydowanie, a ja wtedy spojrzałem na nią. Ona szybko się cofnęła, omal nie upadła, jakby ją odrzuciła ta siła, jaka była w moich oczach. Cofnęła się i pobiegła do wchodzącego męża.

— Aleksy! bełkotała. Aleksy... On...

— Cóż on?

Nie uśmiechając się, lecz głosem, zdradzającym żartobliwość, przemówiłem:

— Ona myśli, że ja cię chcę zabić tym kawałkiem.

I całkiem spokojnie, otwarcie, wziąłem w rękę przycisk, podniosłem go w górę i wolnym krokiem podszedłem do Aleksego. On, nie zmrużywszy powiek, patrzył na mnie swemi blademi oczami i powtarzał:

— Ona myśli...

— Tak, ona tak myśli.

Powoli, spokojnie zacząłem podnosić rękę i

Aleksy także powoli zaczął podnosić swoją, nie spuszczając ze mnie oczów.

— Pozwól! Twardo wyrzekłem.

Ręka Aleksego powstrzymała się, a on ciągle, nie spuszczając ze mnie oczów, uśmiechał się blado, samemi kącikami ust.

Tatianna Nikołajewna strasznie krzyknęła, ale już było za późno. Uderzyłem ostrym kantem w skroń bliżej ciemienia jak oka. A gdy upadł, nachyliłem się i jeszcze dwa razy uderzyłem go. Sędzia śledczy mówił mi, żem go bił dużo razy, bo głowę miał całkiem porozbijaną. Ale to nie prawda. Ja go uderzyłem wszystkiego trzy razy: Raz, gdy stał, a dwa razy potem na podłodze.

Prawda, że uderzenia były bardzo silne, ale było ich tylko trzy. To doskonale pamiętam. Trzy uderzenia.



Arkusz szósty.

Nie usiłujcie rozbierać tego, com napisał przy końcu czwartego arkusza i wogóle nie przywiązujcie zbytniego znaczenia do moich bazgrot, jako do urojonych oznak rozstrojonego myślenia. W tem szczególnem położeniu, w jakiem się znalazłem, powinienem być strasznie ostrożnym, czego nie taję i o czem wy doskonale wiecie,

Ciemność nocna oddziaływa zawsze silnie na zmęczony system nerwowy i dlatego tak często przychodzą w nocy straszne myśli. A w tę noc, pierwszą po zabójstwie, moje nerwy były z pewnością w szczególniejszem naprężeniu. Nie byłem w możności się opanować, bo przecież zabić człowieka, to nie żart.

Po herbacie przyprowadziwszy się do porządku, oczyściwszy paznokcie i zmieniwszy ubranie, zawołałem sobie do towarzystwa Maryę Wasylewnę, To moja gospodyni, a w części i żona. Ma ona tam, zdaje się, z boku kochanka, ale że kobieta przystojna, cicha i niełakoma, łatwo się pogodziłem z tym maleńkim niedostatkiem, który jest zresztą nieuniknionym w położeniu człowieka, otrzymującego miłość za

pieniądze. I oto ta pierwsza głupia baba dotknęła mnie.

— Pocałuj mnie, powiedziałem.

Ona się głupio uśmiechnęła i nie ruszyła się z miejsca.

— Nuże!

Wzdrygnęła się, poczerwieniała i z wylękłym wzrokiem nachylając się przez stół ku mnie, błagająco mówiła:

— Antoni Ignatiewiczu, duszo moja, idź do doktora!

— Czego ci się zachciewa? spytałem.

— Oj nie krzycz! Boję się ciebie, duszko! Aniołku!

A ona przecież jeszcze nic nie wiedziała ani o moich przypadkach, ani o zabójstwie, a ja zawsze byłem dla niej łaskaw i powolny. Pokazuje się, że było coś we mnie takiego, czego niema w innych ludziach, a co przestrasza. Taka powstała we mnie myśl i natychmiast znikła, pozostawiwszy dziwne uczucie zimna w nogach i grzbiecie. Poznałem, że Marya Wasylewna dowiedziała się, być może, czegoś postronnie od służby, albo też natknęła się na powalane ubranie, które zdjąłem i w ten sposób całkiem naturalnie wyjaśnił mi się jej strach.

— Odejdź! — rozkazałem jej.

Potem leżałem na kanapie w mojej bibliotece. Nie chciało mi się czytać. Czułem zmęczenie w całem ciele i miałem wogóle takie uczucie, jak aktor po wspaniale odegranej roli. Przyjemnie mi było patrzeć na książki i myśleć, że kiedyś później będę je sobie czytał. Podobało mi się

całe moje mieszkanie i kanapa i Marya Wasylewna. Przypomniałem sobie urywki frazesów z mojej roli, w myślach przesuwały mi się ruchy, które wykonywałem i chwilami leniwo przychodziły mi krytyczne myśli, że tu lub tam lepiej można było powiedzieć lub zrobić tak a tak.

Z zaimprowizowanego „Pozwól", byłem bardzo zadowolony. Rzeczywiście to rzadki i dla tych, co sami doświadczyli, nieprawdopodobny obraz siły i natchnienia.

— „Pozwól!" Powtarzałem sobie, zamknąwszy oczy i uśmiechałem się. Powieki stawały się coraz cięższe i zachciało mi się spać, gdy leniwie, po prostu, jak wszystkie inne, wtargnęła mi do głowy nowy myśl, opanowywująca wszystkie władze mojej myśli jasnością, dokładnością i prostotą. Leniwie weszła i stanęła. Oto ona w dosłownem brzmieniu i jakby w trzeciej do tego osobie:

„A bardzo być może, że doktor Keržencew rzeczywiście obłąkany. Myślał, że udaje, a on rzeczywiście obłąkany. I teraz jest obłąkany."

Ze trzy, cztery razy powtarzała się ta myśl, a ja się ciągle uśmiechałem, nie mogąc jej pojąć.

„Myślał, że udaje, a on rzeczywiście obłąkany. I teraz jest obłąkany".

Lecz gdym pojął... Z początku zdawało mi się, że ten frazes wypowiedziała Marya Wasylewna; potem jak gdyby to był głos i jakby to był głos jej. Potem pomyślałem o Aleksym. Tak, o Aleksym, o zabitym. Pojąłem, że to ja

pomyślałem — i to było straszne. Za blisko doszedłem do krawędzi i teraz nie pozostaje mi nic, jak tylko jedno — obłąkanie.

Gdy przyjechali aresztować mnie, jak się pokazuje z ich słów, miałem straszny wygląd szaleńca w potarganem ubraniu, byłem blady i straszny. No, Boże! Czyż przeżyć taką noc i nie zwaryować ostatecznie, nie oznacza to posiadania niespożytego mózgu? A przecież ja tylko ubranie poszarpałem i rozbiłem zwierciadło. W tem miejscu pozwólcie sobie udzielić jednej rady. Oto jeżeli kiedy przyjdzie jednemu z was przeżywać to, co ja przeżyłem w ową noc, to pozasłaniajcie lustra w pokoju, w którym będziecie się rzucać. Pozasłaniajcie je tak, jak się to robi wtenczas, gdy w domu leży nieboszczyk. Pozasłaniajcie! Mnie pisać o tem straszno. Ja się boję tego, że muszę o tem pisać i opowiadać. Lecz dłużej odwlekać nie można, a półsłówkami tylko powiększam strach.

Ten wieczór.

Wyobraźcie sobie pijanego węża, tak, tak, prawdziwie pijanego węża; on zataił swą złość; spryt, zwinność jego jeszeze się wzmogły, a zęby wszystkie zostały ostre i jadowite. I jest pijany i w zamkniętym pokoju, w którym znajduje się dużo drżących ze strachu ludzi. I chłodno, okrutny ślizga się wśród nich, obwija się koło nóg, lezie mi na twarz, usiłuje wtargnąć między wargi, zwija się w kłębek i wpija się we własne cielsko. I zdaje się, że nie jeden, ale tysiące węźów ślizga się, lezie, obwija, wpycha i wije się w kłęby i zjada się nawzajem. Taką była moja myśl, ta sama, w którą wierzy-

łem i w ostrzu i w jadowitości jej zębów widziałem zbawienie swoje i obronę. Jedyna myśl rozbiła się na tysiące myśli, a każda z nich była silna i wszystkie one były nienawistne. Krążyły w dzikim tańcu, a muzyką im był głos potworny, zgiełkliwy, jak trąba, wychodzący skądś z nieznanej mi głębi. To była uciekająca myśl, najstraszniejsza z wężów, bo się chowała w ciemnościach.

Z głowy, gdziem ją silnie trzymał, uciekła w tajniki ciała, w czarną, niezbadaną jego głębinę. Stamtąd ona krzyczała, jak obcy, zbiegły niewolnik, zuchwały i śmiały w uznaniu swej bezsilności. „Tyś myślał, że udajesz, a tyś był obłąkany. Ty niski, ty zły, ty głupi, ty doktorze Kerżencew. Jakiś tam doktor Kerżencew; waryat doktor Kerżencew!

Tak ona krzyczała, a ja nie wiedziałem skąd wychodzi jej potworny głos. Również nie wiem, kto to był; ja to nazywam myślą, ale być może, że to i nie była myśl.

Te myśli, jak gołębie nad pożarem, krążyły w głowie, a ona krzyczała skądś z góry, z dołu, z boków, tak, że jej nie mogłem ani zobaczyć, ani uchwycić.

Najstraszniejsze, czego doświadczyłem, to była refleksya, że nie znam siebie i że nigdy siebie nie znałem. Jak długo moje „ja“ znajdywało się w mej jasno oświetlonej głowie, gdzie wszystko rusza się i żyje według prawideł porządku, pojmowałem i znałem siebie, rozmyślałem o moim charakterze i planach i byłem, jak myślałem, panem. Teraz zaś zobaczyłem, żem nie pan, ale niewolnik żałosny i bezsilny.

Wyobraźcie sobie, że w domu, w którym było dużo pokoi, zamieszkaliście w jednym tylko z nich, a zdawało wam się, że posiadacie cały dom. Naraz spostrzegliście, że tam w innych pokojach inni mieszkają. Tak, mieszkają. Mieszkają jakieś zagadkowe stworzenia, możebyć, że ludzie, a może i ktoś jakiś inny, a dom należy do nich. Chcecie się dowiedzieć, co oni za jedni, lecz drzwi zamknięte i nic z poza nich nie słychać, żadnego dźwięku, żadnego odgłosu. I równocześnie wiecie, że właśnie tam, za temi drzwiami milczącemi, rozstrzyga się wasz los.

Zbliżyłem się do zwierciadła... Zasłońcie zwierciadła! Zasłońcie! Potem już nic nie pamiętam do tej chwili, aż przyszła władza sądowa i policya. Spytałem ich, która godzina; odpowiedziano mi, że dziewiąta. I pojąć nie mogłem, że od czasu mojego powrotu do domu minęło tylko dwie godziny, a od chwili zabójstwa Aleksego około trzech.

Wybaczcie, panowie eksperci, że taki ważny dla ekspertyzy moment, jak te straszne okoliczności po zabójstwie, opisałem w takich ogólnych i niejasnych wyrażeniach. Lecz to jest wszystko, co sobie przypominam i co mogę wyrazić ludzkim językiem tego strachu, jakiego wtedy przez cały czas doznawałem. Oprócz tego jeszcze nie mogę powiedzieć ze stanowczem przekonaniem, czy wszystko, tak słabo przezemnie zaznaczone, działo się w rzeczywistości. Być może, że tego nie było, ale było coś innego. Jedno tylko doskonale pamiętam, to tę myśl, czy głos, albo coś takiego: „Doktor Ker-

żencew myślał, że udaje obłąkanego, a on rzeczywiście obłąkany".

Teraz badałem mój puls: 180. To teraz, na samo wspomnienie...



Arkusz siódmy.

Ostatnim razem napisałem dużo rzeczy niepotrzebnych i ubolewania godnych głupstw, coście już dostali i przeczytali. Obawiam się, że to wam da fałszywe pojęcie o mojej osobie, jako też i o rzeczywistym stanie moich umysłowych zdolności. Zresztą wierzę w waszą, panowie eksperci, wiedzę i w wasz rozum.

Pojmiecie, że tylko bardzo ważne przyczyny mogły skłonić mnie, doktora Kerżencewa, do wyświecenia całej istoty zabójstwa Sawełowa. I łatwo pojmiecie ją i ocenicie, gdy wam powiem, że ja i teraz nie wiem, czym udawał obłąkanie, aby bezkarnie zabić, czym zabił dlatego, żem był obłąkany; i na zawsze prawdopodobnie jestem pozbawiony możności dowiedzenia się o tem. Widmo tego wieczora znikło, lecz pozostawiło ognisty ślad. Niema głupich strachów, ale jest strach człowieka, który stracił wszystko, jest zimne uznanie ułudy i nierozwiązalności.

Wy, jako uczeni, będziecie się spierać o mnie. Jeden z was powie, że jestem obłąkany, drugi będzie udowadniał, żem zdrów i dopuści tylko do pewnych ograniczeń z powodu degeneracyi.

Lecz z całą waszą uczonością nie potraficie udowodnić tak jasno ani tego, że jestem obłąkany, ani tego, żem zdrów, jak to udowodnię — ja.

Moja myśl wróciła do mnie i, jak się przekonacie, nie można jej odmówić ani siły ani sprawności. Znakomita, energiczna myśl — nawet wrogowi należy oddać sprawiedliwość.

Ja — obłąkany! Bądźcie łaskawi wysłuchać, dlaczego?

Pierwsza kwalifikuje mnie dziedziczność, ta sama dziedziczność, którą się tak ucieszyłem, obmyślając mój plan. Przypadki z mojego dzieciństwa... Przepraszam panów. Chciałem zataić przed wami ten szczegół o przypadkach i pisałem, żem w dzieciństwie był zdrów. To nie znaczy, abym w fakcie pojawiania się jakichś małych przypadłości, szybko się kończących, upatrywał jakieś dla siebie niebezpieczeństwo. Po prostu nie chciałem zagwazdywać mojego opowiadania nagromadzaniem nieważnych szczegółów. Teraz te szczegóły przydadzą się mi do silnie logicznego zestawienia, i, jak widzicie, nie waham się wam ich przedstawić. Tak jest. Dziedziczność i objawy świadczą o mojem usposobieniu do choroby umysłowej. I ona zaczęła się dla samego mnie niepostrzeżenie daleko wcześniej, niż początek obmyślania mojego planu morderstwa. Lecz rozporządzając, jak wszyscy obłąkani, nadzwyczajnym zmysłem podstępu i zdolnością przystosowywania bezrozumnego działania do norm rozumnego myślenia, zacząłem oszukiwać nie drugich, jak mnie się zdawało, ale samego siebie. Pociągany obcą mi siłą, nadawałem sobie takie pozory, jakbym szedł sam.

Z tego wywodu można już lepić, jak z wosku. Czyż nie tak?

Bardzo łatwo udowodnić, żem się w Tatiannie Nikołajewnie nie kochał, że rzeczywistego motywu zbrodni nie było, a był tylko motyw urojony. W niezwykłości mojego planu, w obojętności, z jaką go wykonywałem, w masie drobiazgów, bardzo łatwo dopatrzeć się tej bezrozumnej woli. Również sama bystrość i wzwód mojej myśli przed zbrodnią, udowadniają moją nienormalność.

„Tak śmiertelnie ranny grałem w cyrku
Gladiatora śmierć przedstawiając“...

Nie zostawiłem ani jednej odrobiny życia mojego bez zbadania. Całe moje życie zbadałem. Do każdego mojego kroku, do każdej myśli, do każdego słowa przykładałem miarę obłąkania, i oto nadawała się ona do każdego słowa, do każdej myśli. Pokazało się, że przed ową nocą już mi przychodziła myśl: czy ja też nie jestem rzeczywiście obłąkany? Lecz jakoś się od tej myśli oddalałem, zapominałem o niej.

A udowodniwszy, żem obłąkany, wiecie, com spostrzegł? Spostrzegłem, że nie jestem obłąkany! To spostrzegłem. Bądźcie łaskawi posłuchać:

Najwyżej, do czego mogłaby mnie kwalifikować dziedziczność i te przypadki, to do degeneracyi. Jestem jednym ze zdegenerowanych, jakich dużo, jakich znaleść można, poszukawszy tylko pilnie nawet pośród was, panowie eksperci. To daje doskonały klucz do całej reszty. Moje obyczajowe zapatrywania możecie wytłó-

maczyć nie właściwością mojego rozmyślania, ale degeneracyą. Rzeczywiście instynkty moralne tkwią tak głęboko, że tylko wobec jakiegoś zboczenia od normalnego typu możliwe jest zupełne wyzbycie się ich. I nauka ciągle jeszcze zbyt śmiało w swoich uogólnieniach wszystkie takie zboczenia zalicza do zakresu degeneracyi, choćby nawet człowiek był zbudowany jak Apollo, a zdrów, jak ostatni idyota. Lecz niechże i tak będzie! Nie mam nic przeciw degeneracyi — wprowadza mnie ona w dobre towarzystwo

Nie będę usiłował bronić mojego motywu zbrodni. Powiadam wam zupełnie szczerze, że Tatianna Nikołajewna obraziła mnie swoim śmiechem i krzywda bardzo głęboko we mnie utkwiła, jak to bywa u takich skrytych, odosobnionych natur, jak moja. Lecz powiedzmy, że to nie prawda. To przyznajmy również, że się w niej nie kochałem. Lecz czy nie da się przypuścić, że chciałem zabójstwem Aleksego po prostu wypróbować swoje siły? Przecież z łatwością przypuścicie, że istnieją ludzie, którzy ryzykują życie, wychodzą na niedostępne góry tylko dla tego, że są niedostępne, mimo tego nie nazywacie ich obłąkanymi? Nie ośmielicie się nazwać obłąkanym Nansena, tego największego człowieka kończącego się stulecia! W życiu umysłowem są też bieguny i do jednego z nich ja chciałem dotrzeć! Bałamuci was brak zazdrości, zemsty, korzyści i innych prawdziwie niedorzecznych motywów, któreście przywykli uważać za jedynie odpowiednie i zdrowe. Wobec tego wy, ludzie nauki, powinni-

ście Nansena osądzić razem z tymi głupcami i drabami, którzy jego plany także zaliczają do szaleństw...

Mój plan... Niezwykły, oryginalny, śmiały do zuchwalstwa, lecz czyż on nie mądry z punktu widzenia mojego celu? I właśnie moja skłonność do udawania, zupełnie rozumnie wam wyjaśniona, mogła mi poddać ten plan. Wzwód myśli — a czyż genialność, to na prawdę nie pomieszanie zmysłów? Zimna krew — dla czegoż koniecznie morderca ma drżeć, blednąć i wahać się? Tchórze zawsze drżą, nawet wtedy, gdy ściskają własne pokojówki, a odwaga, czy też nie jest waryacyą?

A jak poprostu daje się usprawiedliwić moje własne przeświadczenie o tem, żem zdrów! Jak prawdziwy artysta — aktor, za głęboko wżyłem się w rolę, chwilowo identyfikowałem się z przedstawianą osobą i na chwilę straciłem zdolność zdawania sobie sprawy. Czy możecie powiedzieć, że nawet między zawodowymi, codziennie ćwiczącymi się komedyantami, niema takich, co grając Otella czują rzeczywistą potrzebę zabicia? Dostatecznie przekonywujące. Nieprawdaż panowie uczeni?

Ale czy wy też nie uważacie jednej dziwnej rzeczy: Kiedy ja udowadniam wam, że jestem obłąkany, to wam się zdaje, żem zdrów, a gdy udowadniam, żem zdrów, to wy widzicie obłąkanie? Tak jest. To dlatego, że wy mi nie wierzycie... Lecz i ja sobie nie wierzę, bo i komuż ja w sobie mam wierzyć? Podłej i nikczemnej myśli, kłamliwemu chłopu, który gotów służyć każdemu? On godzien tylko

tego, żeby czyścić buty, a ja go zrobiłem moim przyjacielem, moim Bogiem. Precz z tronu, ty pożałowania godna bezsilna myśli! Któż ja jestem, panowie eksperci? Szalony czy nie?

Maszo, poczciwa kobieto, ty znasz to, czego ja nie znam. Powiedz mi, kogo prosić o pomoc dla siebie?

Ja znam twoją odpowiedź Maszo. Nie, to nie to. Tyś dobra i doskonała kobieta, Maszo, ale ty nie umiesz ani fizyki, ani chemii, nigdy nie byłaś w teatrze i nawet nie spodziewasz się, że to, na czem żyjesz, odbierasz, podajesz i przyjmujesz, kręci się. A ono się kręci, Maszo, tyś tępe stworzenie, prawie roślina i ja ci bardzo zazdroszczę, prawie tyle, ile cię lekceważę. Nie, Maszo, nie ty mi odpowiedz. I ty nic nie wiesz, to nie prawda. W jednej z komórek twojego niekunsztownego domu mieszka ktoś bardzo ci pożyteczny, lecz u mnie ten pokój pusty. Ten, kto tam mieszkał, dawno umarł, a na grobie postawiłem mu wspaniały pomnik. On umarł Maszo i nie wstanie z martwych.

Któż ja jestem panowie eksperci: obłąkany czy nie? Wybaczcie, że się z takim nieprzystojnym uporem wam naprzykrzam z tem pytaniem, ale przecież wy, „ludzie nauki“, jak was tytułował mój ojciec, gdy wam chciał pochlebić, wy macie książki i wy dysponujecie jasną, jędrną, i bezbłędną ludzką myślą. Z pewnością połowa z was będzie jednego zdania, druga połowa drugiego i ja wam uwierzę, jednym i drugim. Powiedzcie.... a w pomoc waszemu oświeconemu rozumowi przywiodę interesujący, bardzo interesujący fakcik:

Pewnego cichego i spokojnego wieczora, jaki tu wśród tych białych ścian spędziłem, spostrzegłem na twarzy Maszy, wyraz przestrachu, dystrakcyi i podległości czemuś silnemu i strasznemu. Gdy sobie poszła, a ja usiadłem na rozebranem już łóżku, zacząłem myśleć o tem, czego mi się zachciewa. A zachciewało mi się strasznych rzeczy. Mnie, doktorowi Kerżencewowi, zachciało się wyć. Nie krzyczeć, ale dosłownie wyć, jak ten tam wyje. Chciało mi się rozrywać na sobie ubranie i drapać się paznogciami. — Wziąć koszulę przy kołnierzu, z początku trochę, całkiem nie wiele pociągnąć, a potem — chrast! aż do samego dołu. I chciało mi się, mnie doktorowi Kerżencewowi, chodzić na czworakach. A naokoło było cicho i śnieg bił w okna i gdzieś niedaleko monotonnie modliła się Masza. I długo biłem się w myślach, co z tego wybrać. Jeżeli zacznę wyć, to będą słyszeć i zrobi się skandal. Jeżeli rozedrę koszulę, to jutro zauważą. I zupełnie rozumnie wybrałem trzecie: czworaki. Nikt nie usłyszy, a gdy kto zobaczy, to powiem, że mi się oderwał guziczek i że go szukam.

I póki wybierałem i namyślałem się, było mi dobrze, a nawet przyjemnie, i, jak pamiętam, huśtałem nogą.

Lecz naraz pomyślałem:

— Ale po co ja mam chodzić na czworakach? Czy ja rzeczywiście waryat?

I stało mi się straszno tak, że nagle zachciało mi się wszystkiego:

Chodzić na czworakach, wyć, drapać się. Zirytowałem się.

— Chcesz chodzić na czworakach? — spytałem. Lecz ono milczało.

Już się mu nie chciało.

— Nie? Przecież ty chcesz chodzić na czworakach? — Napierałem; ono znów milczało.

— No! Dalejże na czworaki!

I zakasawszy rękawy zacząłem łazić na czworakach. A kiedym obszedł pokój do połowy, zacząłem się tak śmiać z tego nierozsądku, żem aż usiadł na podłodze i śmiałem się, śmiałem się, śmiałem się. Z zakorzenioną i niewygasłą jeszcze wiarą w to, że można czegokolwiek dociec, myślałem, żem odkrył źródło swoich bezrozumnych zachceń. Widocznie zachcenie raczkowania i inne były rezultatem autosuggestyi. Uporna myśl o tem, żem obłąkany, wywoływała waryackie zachcenia, a gdy tylko je spełniono, pokazało się, że żadnych zachceń niema i że ja nie jestem bezrozumny. Rozumowanie, jak widzicie, całkiem proste i logiczne. Lecz...

Lecz przecież ostatecznie ja chodziłem na czworakach! Ja raczkowałem! Któż więc jestem ja? Czy usprawiedliwiający się, obłąkany, czy zdrowy, chcący uchodzić za waryata?

Pomóżcież mi wy, wysoko uczeni mężowie! Niechże wasze poważne zdanie przeważy szale, w jedną lub drugą stronę i rozwiąże to straszne, dzikie pytanie.

Czekam!

Czekam nadarmo. O, moi mali głowacze — czyżbyście wy byli nie — ja? Czyż w waszych łysych głowach pracuje nie taka sama podła, ludzka myśl, wiecznie kłamiąca, zmienna, fantastyczna, jak w mojej? I w czem moja gorsza

od waszej? Wy będziecie udowadniać, że ja obłąkany — a ja wam udowodnię, żem zdrowy.

Wy powiecie, że nie wolno kraść, zabijać i oszukiwać dlatego, że to niemoralność i zbrodnia, a ja wam udowodnię, że można zabijać i grabić, i że to bardzo moralne. I wy będziecie myśleć i mówić, i ja będę myśleć i mówić, i wszyscy będziemy mieli racyę i nikt z nas nie będzie miał racyi. Gdzież jest sędzia, któryby nas potrafił rozsądzić i któryby znalazł prawdę?

Wy jesteście ogromną władzą, która daje wam jednym przywilej znania prawdy; wyście nie popełnili zbrodni, nie jesteście pod sądem, ale ugodzeni za odpowiedniem wynagrodzeniem macie wykazać stan mojej psychiki. I dlatego ja— obłąkany. Ale gdyby tutaj posadzono pana, profesorze Drżembicki, a mnie wezwano, do orzekania o panu, to obłąkanym byłbyś pan, a jabym był grubą rybą — ekspertem, kłamcą, który różni się od innych kłamców tylko tem, że łże nie inaczej, jak tylko pod przysięgą.

Prawda, żeś pan nikogo nie zabił, nie spełnił kradzieży dla kradzieży i że gdy pan najmujesz dorożkarza, to obowiązkowo wytargowujesz pan od niego dwadzieścia kopiejek, co dowodzi pańskiego zupełnego dusznego zdrowia. Pan nie obłąkany. Lecz może się zdarzyć zupełnie niespo dziewana rzecz... Zaraz jutro, w tej chwili, zaraz, podczas gdy pan czytasz te słowa, może panu przyjść strasznie głupia i nieostrożna myśl: Czy ja też nie jestem obłąkanym? Kim pan będzie wtedy, panie profesorze? Taka głupia, błaha myśl — bo i dlaczegobyś pan miał waryować? Lecz spróbój się pan jej pozbyć. Pił pan

mleko i zdawało się panu, że ono niezbierane, dopóki ktoś nie powiedział, że ono z wodą zmieszane. I z pewnością — nie było już niezbieranego mleka.

W y — o b ł ą k a n i. Czy nie chcecie przejść się na czworakach? Z pewnością nie chcecie, bo i któryż zdrowy człowiek zechciałby raczkować? No, a przecież? Nie budzi się też u was taka leciutka ochota, całkiem słabiutkie życzenie, z którego się chce śmiać, zejść ze stołka i troszeczkę, całkiem odrobinkę poraczkować? Naturalnie, że nie budzi, bo skądżeby się miało brać u zdrowego człowieka, który co dopiero pił herbatę i rozmawiał z żoną. Lecz nie czujecie w waszych nogach, chociaż pierwej nie czuliście, i czy nie zdaje się wam, że w kolanach zachodzi coś dziwnego, takie ciężkie uśpienie walczy z ochotą zgięcia kolan, a potem... Więc w rzeczy samej, panie Drżembicki, czy ktokolwiek może pana powstrzymać, gdy się panu zechce odrobinkę poraczkować na czworakach?

Nikt!

Zgódźże się pan na raczkowanie. Wyście mi jeszcze potrzebni. Moja walka jeszcze nieskończona.

Arkusz ósmy.

Jeden z objawów paradoksalności mojej natury: Bardzo lubię dzieci, bardzo małe dzieci, takie, co to dopiero zaczynają paplać i są podobne do wszelakich malutkich zwierząt, jak szczenięta, kocięta i wężowięta. Nawet węże w dzieciństwie są miłe. Ostatniej jesieni w pogodny, słoneczny dzień, trafiło mi się widzieć następujący obrazek: Malutka dziewczynka w watowanym paltociku z kapiszonem, z pod którego zaledwie widać było jej różowe policzki i nosek, miała ochotę zbliżyć się do bardzo maleńkiego pieska na cienkich nóżkach z wąziutką mordeczką i bojaźliwie zwieszonym między nogi ogonkiem. Nagle się przelękła, odwróciła i jak mały biały kłębuszek potoczyła się do tuż obok stojącej niańki i milcząc schowała buzię u niej na kolanach. A mała psina pieszczotliwie mrugała i lękliwie podciągała ogonek, twarz zaś niańki była taka dobra i poczciwa.

— Nie bój się — mówiła niańka, i uśmiechała się do mnie, a twarz miała taką dobrą i poczciwą.

Nie wiem dlaczego, ale ten obrazek przypo-

minał mi się często i na wolności, gdym obmyślał plan zabójstwa Sawełowa, i tutaj. Wtedy jeszcze patrząc na tę miłą grupę, oświetloną jasnem jesiennem słońcem, budziło się we mnie jakieś dziwne uczucie, jakby zagadka czegoś, i zamiar zabójstwa wydawał mi się wstrętnem kłamstwem z jakiegoś innego świata. I to, że wszystko troje: ona, dziewczynka i psina, były takie malutkie i miłe, i że tak śmiesznie bały się siebie wzajemnie, i że słońce tak ciepło świeciło, wszystko to proste i tak pełne spokojnej i głębokiej mądrości, jakby tam właściwie, w tej grupie zamykała się zagadka życia. Takie miałem uczucie. I powiedziałem sobie: „Warto się nad tem zastanowić należycie“ — lecz nie zastanowiłem się.

A teraz nie pamiętam, co to wtedy było i męczę się, usiłując to pojąć i nie mogę. I nie wiem, po co ja wam to opowiedziałem, tę śmieszną niepotrzebną historyjkę, gdy jeszcze tak dużo mam wam do powiedzenia poważnego i ważnego. Bezwarunkowo trzeba skończyć.

Zostawimy w spokoju nieboszczyków. Aleksy zabity, już dawno zaczął się rozkładać, niema go — pal go dyabli! W położeniu nieboszczyków jest coś przyjemnego. Nie będę mówił o Tatiannie Nikołajewnie. Ona nieszczęśliwa i ja chętnie łączę się z ogólnem dla niej współczuciem, lecz cóż znaczy to jej nieszczęście, wszystkie nieszczęścia na świecie w porównaniu z tem, co przeżywam obecnie ja, doktor Kerżencew! Małoż to żon na świecie traci kochanych mężów i małoż ich jeszcze utraci.

Zostawmy ich — niech płaczą. Lecz oto tu w tej głowie...

Wy pojmujecie, panowie eksperci, jak się to, strasznie ułożyło. Nikogo na świecie nie kochałem, oprócz siebie, a w sobie kochałem nie to głupie ciało, które kocha pospólstwo, ale kochałem moją człowieczą myśl, moją swobodę. Nie znałem i nie znam nic wyższego nad moją myśl; ja ją ubóstwiałem, a ona — czyż była tego godną? Czyż ona jak olbrzym nie brała się za bary z całym światem i jego błędami? Na wierzchołek wysokiej góry wyniosła mnie ona i zobaczyłem, jak głęboko w nizinie kłębili się ludziska ze swemi drobnemi namiętnościami, ze swoim wiecznym strachem przed życiem i śmiercią, z ich cerkwiami, nabożeństwami i modlitwami. Czyż ja nie byłem i wielki i zdolny i szczęśliwy? Jak średniowieczny baron, siedzący rzeczywiście jak w orlem gnieździe w swoim zamku, dumnie i pogardliwie patrzący na leżące pod nim doliny, tak niezwyciężonym i pysznym byłem w moim zamku, za temi kościami mojej czaszki. Pan nad sobą, byłem panem nad światem!

I oto mnie zdradzono. Podle, podstępnie, jak zdradzają kobiety, chłopy i — myśli. Zamek mój stał się mojem więzieniem. W moim zamku napadły mnie wrogi — gdzież ocalenie? W niedostępności zamku, w grubości jego murów — moja zguba. Głos nie przenika — któż jest tak silny aby mnie ocalił? Nikt. Bo nie ma nikogo silniejszego odemnie, a ja — ja jestem jedyny wróg mojego „ja“!

Podła myśl zdradziła mnie, tego, co tak w nią

wierzył i kochał ją. Nie stała się ona gorszą, została tak samo jasną, bystrą, sprężystą jak rapier, tylko rękojeść jej już nie w moim ręku. I mnie, jej twórcę, jej pana, zabija ona z taką samą tępą obojętnością, z jaką ja zabijałem nią innych.

Nastaje noc, a mnie opanowuje szalony strach. Stałem hardo na ziemi i silnie na niej stały moje nogi — a teraz rzucony zostałem w pustkowie bezgranicznych przestworów. Wielka to i pełna grozy samotność, kiedy i z tyłu i z przodu i naokoło zieje pustką; straszna to samotność, kiedy ja, ten, który żyje, czuje i myśli, który tak drogi i jedyny, kiedy ja, tak mały, bezgranicznie nikczemny i słaby każdej sekundy gotowy zagasnąć.

Złowieszcza samotność, gdy sam siebie uznaję zaledwie malutką cząsteczką, gdy sam w sobie jestem okrążony i przywalony okrutnie milczącymi mistycznymi wrogami. Dokąd nie idę — ja wszędzie niosę ich ze sobą; samotny w próżni wszechświata, nie mam przyjaciela nawet w samym sobie. Bezrozumna samotność, gdy ja nie wiem, kto to ja — samotny, gdy mojemi ustami, moją myślą, moim głosem mówią nieznani — oni. Tak żyć nie można. A świat śpi spokojnie. Mężowie całują swoje żony, uczeni czytają lekcye, a biedaki cieszą się rzuconym im groszem. Bezrozumny, szczęśliwy w swej głupocie świecie, jakżeż straszne będzie twoje przebudzenie!

Któż silny poda mi rękę ku pomocy? Nikt. Nikt. Gdzież ja znajdę to wieczne, do którego mógłbym się przyczepić z mojem opłakanem,

bezsilnem, do okropności samotnem „ja“? Nigdzie. Nigdzie.

O miła, miła dzieweczko, dlaczego ku tobie wyciągają się moje zakrwawione ręce? Przecież tyś także człowiek i także marny i samotny i przynależny śmierci. Czy ja lituję się nad tobą, czy też chcę, abyś ty litowała się nademną i bym jak za szańcem ukrył się za twoim nieobronnym cieniem, przed beznadziejną pustką wieków i przestrzeni. Lecz nie! Nie! Wszystko to kłamstwo!

O wielką ogromną łaskę poproszę ja was, panowie eksperci, i jeżeli posiadacie w sobie choć odrobinę ludzkości, to mi jej nie odmówicie. — Mam nadzieję, żeśmy się zrozumieli o tyle, aby sobie wzajemnie nie wierzyć. I jeżeli będę was prosił, abyście przed sądem powiedzieli, że jestem człowiekiem zdrowym, to najmniej uwierzę waszym słowom — ja. Dla siebie możecie rozstrzygnąć, lecz dla mnie nie rozstrzygnie nikt tego pytania: czy udawałem obłąkanego, aby zabić, czy zabiłem dlatego, że byłem obłąkany.

Lecz sędziowie wam uwierzą, dadzą mi to, czego chcę, to jest katorgę. Proszę was, nie tłómaczcie fałszywie moich zamiarów. Ja nie czuję skruchy, żem zabił Sawełowa, ja nie szukam w karze odpokutowania grzechu i jeżeli dla udowodnienia tego, żem zdrów, potrzeba, abym kogokolwiek zabił w celu grabieży, to ja z ochotą go zabiję i ograbię. Lecz w katordze ja szukam czego innego, czegoś, czego ja sam jeszcze nie znam. Mnie pociąga do tych ludzi tam jakaś smutna nadzieja, że wśród nich, któ-

rzy naruszyli wasze prawa, wśród morderców, rabusiów, znajdę nieznane mi źródło życia i znowu stanę się sobie przyjacielem. A gdyby to było nieprawdą, gdyby nadzieja mnie zawiodła, to mimo to, przecież ostatecznie chcę być z nimi. O! ja was znam! Wy tchórze i obłudniki, wy najbardziej ze wszystkiego kochacie wasz spokój i wy z radością każdego złodzieja, co ukradł bułkę, radzibyście zamknąć w domu obłąkanych — wy chętnie świat cały i samych siebie uważacie raczej za obłąkanych, aniżeli ośmielacie się ustąpić choć trochę od waszych ulubionych wymysłów. Ja was znam. Zbrodniarz i zbrodnia — to wieczna wasza trwoga, to groźny głos niezbadanej przepaści, to nie odwołalne osądzenie całego waszego rozumnego i moralnego życia i gdybyście nie wiedzieć jak watą zatykali uszy, to ono przez nią przeniknie, przeniknie! I ja chcę iść do nich. Ja, doktor Kerżencew, stanę w szeregu tej strasznej dla was armii, jak wieczny wyrzut, jak ten, który pyta i czeka odpowiedzi.

Nie uniżenie was proszę, ale żądam: powiedzcie mi, czym ja zdrów? Skłamcie, jeżeli w to nie wierzycie. Lecz jeżeli małodusznie umyjecie wasze uczone ręce i zamkniecie mnie w domu waryatów, lub puścicie wolno, to zapewniam was po przyjacielsku, że wam narobię wielkich nieprzyjemności.

Dla mnie nie istnieją sądy, nie istnieją prawa, nie istnieje niedozwolone. Mnie wszystko wolno. Czy możecie sobie wyobrazić świat, w którym nie istnieją środki prawne, w którym niema góry i dołu, w którym wszystko

słucha żądzy i przypadku? Ja, doktor Kerżencew, jestem takim nowym światem. Wszystko dozwolone. Ja, doktor Kerżencew, udowodnię wam to. Udam zdrowego. Dojdę do swobody. I całą resztę życia będę się uczyć. Otoczę się waszemi książkami, wezmę od was całą potęgę waszej wiedzy, którą się pysznicie i odnajdę jedną rzecz, w której dawno dojrzała konieczność. To będzie erupcyjne istnienie. Tak silne, jakiego jeszcze ludzie nie widzieli; silniejsze od dynamitu, silniejsze od nitrogliceryny, silniejsze od samej myśli o niem. Ja utalentowany, uparty, i ja je znajdę. Kiedy je znajdę, porwę w powietrze waszą przeklętą ziemię, na której tak dużo bogów, a niema jednego, wiecznego Boga.



Przed sądem doktor Kerżencew był bardzo spokojny i przez cały czas trwania rozprawy siedział bez zmiany w jednej i tej samej pozie. Na pytania odpowiadał obojętnie i bezbarwnie, wywołując niejednokrotnie potrzebę ich powtarzania. Raz rozśmieszył zgromadzoną bardzo licznie w sali sądowej publiczność. Przewodniczący zwrócił się z jakiemś poleceniem do woźnego, a podsądny, widocznie nie dosłyszawszy albo z roztargnienia, wstał i głośno się spytał:

— Co? Trzeba wyjść?

— Dokąd wyjść? — Zdziwił się przewodniczący.

— Nie wiem. Pan coś powiedział.

Publiczność się roześmiała, a przewodniczący objaśnił Kerżencewa, o co idzie.

Ekspertów-psychiatrów było wezwanych czterech i zdania ich były podzielone po połowie.

Po wywodzie prokuratora przewodniczący zwrócił się do oskarżonego, który nie życzył sobie mieć obrońcy:

— Obwiniony! Co pan masz do powiedzenia ku swojej obronie?

Doktor Kerżencew wstał. Błędnym, jakby

nie reagującym wzrokiem, powoli powiódł po sędziach i publiczności. A ci, na których padł ten ciężki, tępy wzrok, doświadczyli dziwnie przykrego uczucia, jakby z pustych orbit czaszki spojrzała na nich sama obojętna i niema śmierć.

— Nic — odpowiedział obwiniony.

I jeszcze raz obrzucił wzrokiem ludzi, zebranych, by go sądzić, i powtórzył:

— Nic!

K O N I E C.